

**ALFRED HITCHCOCK**

# **SZALEŃCZA AFERA**

**NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW**

(Przełożyła: IWONA LIBUCHA)

## **ROZDZIAŁ 1**

### **SZUMY NA TAŚMIE**

Bob Andrews przeciskał się przez tłum kłębiący się na pchlim targu w Rocky Beach. Było ciepło, środowe południe, ostatni dzień szkolnego roku, i Bob aż skręcał się z niecierpliwości, żeby nareszcie coś zrobić!

Dookoła słychać było ostre dźwięki rocka - chłopcy z zespołu Hula Łups dawali z siebie wszystko i jak zwykle nikt nie mógł ustać w miejscu. Nie ma się co dziwić, że Łupsy mają zapewniony udział w finale rockowego konkursu Jimmy'ego Cokkera! Ich dzisiejszy występ był jakby próbą przed wielkim koncertem w przyszłą sobotę, i to w dodatku płatną.

Bob przerzucił z ręki do ręki kartonowe pudło i zrobił kilka tanecznych kroków. Był przejęty jak nigdy. To przecież agencja Rock-Plus, której założycielem i właścicielem jest Sax Sandler, reprezentuje Hula Łupsów, a on, Bob, jest prawą ręką Saxa!

Teraz właśnie gnał na spotkanie z szefem. Z zadowoloną miną lawirował między dziesiątkami stoisk, na których można było kupić wszystko - od młotków, poprzez zabawki, aż po biżuterię. Piękne dziewczyny szczyrzyły zęby do niego, a on rozdawał uśmiechy na prawo i lewo, nic sobie nie robiąc z wrażenia, jakie wywiera.

- To zęby - usłyszał nagle za sobą.

- Coo?

- Uzębienie... Nie ma żadnych wątpliwości, brachu, masz zabójczy uśmiech.

Pete Crenshaw, który właśnie dogonił przyjaciela, pokiwał głową. Biegąc z tyłu, miał świetną pozycję obserwacyjną i dokładnie widział, jak sama obecność Boba działa na dziewczyny. Nie chodziło tylko o wygląd, chociaż Bob - wysoki, opalony blondyn o niebieskich oczach, ubrany w podkoszulek i nieskazitelne, jasne dżinsy - śmiało mógłby liczyć na zwycięstwo w wyborach "Mister California", gdyby tylko zechciał wziąć udział w tego typu imprezie.

Chodziło o coś zupełnie innego. Najpotężniejszą bronią Boba był czar, który promieniował z niego jak ciepło z rozgrzanego pieca.

- Co za uśmiech! Fantastyczny! - ciągnął Pete. - W sam raz na reklamy pasty do zębów. Wyglądałbyś świetnie na wielkich plakatach.

Pete miał na sobie podkoszulek z emblematem L. A. Lakers, swojej ulubionej drużyny koszykarskiej, i zakurzone dżinsy, z walkmanem przypiętym do paska.

Bardzo wysoki, świetnie zbudowany, z pasją uprawiał wszelkie sporty. Był w takiej formie, że kilkuminutowa pogoń z parkingu za Bobem nie pozostawiła na nim śladu - nawet się nie zasapał. I jemu dopisywał humor. Jakoś udało się mu przeżyć końcowy test z geometrii, uznał więc, że zasłużył na wakacje.

- Albo przestaniesz mówić o moich zębach - zagroził Bob - albo powiem Kelly, że oglądasz się za innymi.

Kelly Madigan, dziewczyna Pete'a, owinęła go sobie dookoła małego palca. Tak przynajmniej utrzymywał Jupiter Jones, trzeci z trójki przyjaciół.

- I tak ci nie uwierzy - parsknął Pete i odgarnął z czoła ciemnorude włosy. - Wie, że nie mam żadnych szans, jeśli ty jesteś w pobliżu.

Bob zaśmiał się i ruszył z Pete'em w kierunku estrady. Miał spotkać się tam z Saxem, żeby odebrać ulotki reklamujące udział Łupsów w wielkim sobotnim finale. Obiecał przy okazji poznać Pete'a z członkami zespołu, pod warunkiem że Pete odwiedzi go do domu.

- Tylko nie zapomnij, że mamy potem zajrzeć do twojego volkswagena - przypomniał Pete. - A co konkretnie jest z nim nie tak?

- Ja mam to wiedzieć? - obruszył się Bob.

- Bardzo cię przepraszam - roześmiał się Pete.

Wprawdzie Bob radził sobie z dziewczynami jak nikt inny, ale z drugiej strony - nikt inny nie wykazywał równej mu tępoty w zagadnieniach motoryzacyjnych.

- Czyżbyś miał zamiar otworzyć tu własne stoisko? - Pete wskazał wypełnione pudło, które Bob wciąż trzymał pod pachą. - Co tam masz?

- Cenne rzeczy osobiste.

- Wygląda na to, że wyczyściłeś swoją szkolną szafkę.

- Szkoła się skończyła. Dzisiaj. Nikt cię o tym nie poinformował?

- Poinformował. Wyrzuciłem wszystko do kosza. Wydaje mi się, że ty też powinieneś to zrobić - powiedział Pete, zaglądając do pudła.

Wewnątrz były podarte notatki, stare pióra i zużyte gumki, jakieś papiery, zgnieciona czapka i praca semestralna z biologii, zatytułowana "Cykl życia muszki owocówki". Całość wieńczył pusty plecak.

- Wszystko może się kiedyś przydać... - zaczął poważnie Bob i przerwał gwałtownie. - Popatrz! - wykrzyknął.

Nad stoiskiem, które właśnie mijali, widniał nagryzmlony naprędce napis: *Okazja! Tanie kasety! 2 dolary za jedną, 5 dolarów za trzy!*

- Daj spokój! - skwitował Bob jęk Pete'a i w jednej chwili znalazł się przy stole, na którym leżały setki różnokolorowych kaset.

- A Sax? Przecież się z nim umówiłeś - Pete nie miał zamiaru ustąpić. - Pal sześć Saxa, ostatecznie to twój szef. Ale samochód? Mieliśmy go naprawić. Nie wspomnę już o tym, że Jupe na nas czeka.

- Mamy mnóstwo czasu - Bob przeglądał właśnie kasetę za kasetą. - Jupe i tak bawi się jakąś maszyną, którą właśnie wynalazł w składzie wuja Tytusa. Nawet nie zauważy, jak się spóźnimy.

Wuj Tytus i ciotka Matylda - opiekunowie Jupitera - byli właścicielami składu złomu, który przekształcił się samoistnie w skład wszelkich staroci. Właśnie tam Jupe, Pete i Bob - wówczas zaledwie trzynastoletni założyli swoją agencję Trzej Detektywi. Dziś, po czterech latach, byli znani w całym Rocky Beach jako najmłodszy i najskuteczniejszy działający prywatni detektywi.

- W czymś pomóc? - usłyszał nagle Bob.

Podniósł głowę. Wpatrywała się w niego para bardzo czarnych oczu. Potem zauważył wąski nos i kwadratową szczękę. Wszystkie te cechy złożyły się w zdecydowanie azjatycką twarz należącą do niedużego człowieka, który bębnił palcami o blat stołu. Dziwne było to, że nie wybijał bynajmniej rytmu kolejnej, jeszcze bardziej szalonej piosenki Łupsów. Nie. Facet był wyraźnie zdenerwowany.

- Dziękuję. Sam coś sobie znajdę. Niezły wybór tu macie.

- Za trzy płacisz tylko pięć baksów - sprzedawca mówił z lekkim obcym akcentem.

Nie bardzo starał się zdobyć nowego klienta. Przez cały czas wpatrywał się w tłum, jakby kogoś szukał.

- Pospiesz się! - zażądał Pete. - Ja naprawdę chcę się spotkać z Hula Łupsami.

- Już się robi.

Bob zdecydował się na stare przeboje zespołu Kszyk w Krzakach, reggae grane przez jakąś grupę z Karaibów i rap w wykonaniu Eksplozji Mocy Pana Watta. Sprzedawca chwycił podane mu pięć dolarów i wcisnął je do kieszeni.

- Nareszcie! Drzyjcie, gwiazdy rocka, bo nadchodzę ja! - wykrzykiwał rozentuzjasmowany Pete.

Bob porwał z ziemi swoje pudło i ruszył za przyjacielem.

- Wiesz - tuż pod sceną Pete odwrócił się gwałtownie - oni są naprawdę super!

- A nie mówiłem? Sax jest pewien, że wygrają konkurs Jimmy'ego Cokkera. A

wiesz, jaka jest główna nagroda? Dziesięć tysięcy dolarów plus sześciotygodniowa trasa koncertowa plus kontrakt z wytwórnią płytową. Taki kontrakt może zrobić z nich gwiazdy!

- Kiedy to się rozstrzygnie?

- Za trzy dni, w najbliższą sobotę w Los Angeles.

Estrada znajdowała się na niewielkim wzniesieniu w samym środku targu. Dookoła ciągnęły się setki stoisk, straganów i zwykłych stolików. Ludzie byli wszędzie. Tańczyli, śmiali się, jedli watę cukrową albo prażoną kukurydzą, kupowali i sprzedawali - wszystko w rytmie narzuconym przez muzykę Łupsów.

Bob i Pete obeszlą scenę, żeby dostać się na zaplecze i znaleźć Saxa. Za kulisami było trochę spokojniej. Dało się nawet rozmawiać. Pete wepchnął podkoszulek w spodnie. "Nie - pomyślał - przedtem było lepiej". Wyciągnął go z powrotem.

- Jest mój człowiek! - rozległ się głos Saxa Sendlera.

Po chwili on sam wychynął zza ściany wzmocniaczy.

Sax miał czterdzieści kilka lat. Ubrany był jak zwykle w czarne spodnie, powyciągany sportowy pulower i wysokie sznurowane buty. Długie włosy, poprządkane tu i tam siwizną, związał z tyłu w mały kucyk.

Oficjalnie Bob pracował w Rock-Plus jako goniec, ale oprócz tego był doradcą szefa, jego ekspertem od młodzieżowych gustów, a nawet organizatorem koncertowych tras niektórych zespołów. Żadna praca nie sprawiała mu dotąd takiej frajdy.

- Co tam masz? - Sax z zainteresowaniem popatrzył na pudło Boba.

Ciekawość świata we wszystkich przejawach cechowała Saxa zawsze - w dawnych czasach, kiedy był hippisem, i teraz, kiedy został znanym impresariem.

- Szkolne śmieci - odpowiedział za kolegę Pete.

- I kilka kaset, które od zawsze chciałem mieć. Kupiłem je tutaj prawie za darmo - Bob pokazał Saxowi swój łup.

- Już niedługo będziemy kupować nagrania Łupsów - mruknął Sax, przeglądając kasety.

Nagle Bob zajrzał Saxowi przez ramię.

- No nie! - krzyknął.

- Co się dzieje? - podskoczył Pete.

- Błąd. Na okładce jest Krzyk w Krzakach.

- No i co? - Pete nie rozumiał, o co chodzi.

- Jest "rz" zamiast "sz". Powinno być Kszyk w Krzakach.

- Czyżby wielkich wytwórni nie było stać na specjalistów, którzy sprawdzają pisownię tytułów? - zdziwił się Pete.

- Rzecz w tym - wyjaśnił Sax - że legalne wytwórnie nigdy by nie wypuściły na rynek okładki z błędem.

Przyjrzeni się dokładnie kasetom. Coś było z nimi nie tak. Litery rozmywały się na brzegach, kolory okładek nie były dobrze spasowane, niektóre teksty wyglądały, jakby ktoś wystukał je na starej maszynie do pisania, a potem powielił. Rysunek na wkładce Kszyku w Krzakach wydał się im dziełem nieudolnego amatora, odbitym na kolorowej kserokopiarce.

- Trzeba je przesłuchać - Pete z ponurą miną odpiął walkmana.

Posłuchał chwilę i podał słuchawki dalej. Nie było wątpliwości - od szumów na pierwszej kasecie bolały zęby, druga nagrana była zbyt wolno, a jęk, który się z niej wydobywał, wcale nie przypominał muzyki, na trzeciej nie dawało się rozróżnić słów.

- Rozbój w biały dzień! - z trudem wydusił z siebie Bob.

## ROZDZIAŁ 2

### PIERWSZE STARCIE

- Piraci! - wykrzyknął Bob.

- Całkiem możliwe - kiwnął głową Sax. - Takie miejsca zawsze przyciągają podejrzany element.

Pete wytrzeszczył oczy.

- Możecie mi wyjaśnić, o czym mówicie? - zapytał.

- Kupiłem pirackie kasety. Przebrane z płyt albo taśm i sprzedawane jako oryginalne. Zerowa jakość nagrania. Nic mnie bardziej nie wkurza.

- Co masz zamiar z tym zrobić? - zapytał Sax.

Bob popatrzył na Saxa, potem na Pete'a i wysunął dolną szczękę.

- Idę - powiedział. - Muszą mi oddać forszę.

- Czekaj. Przecież obiecałeś przedstawić mnie Łupsom - marudził Pete.

- Będziemy z powrotem, zanim skończą ten kawałek! Tylko się ruszajcie!

I Bob z pudłem pod pachą pognął wąskim przejściem między straganami. Mruczał coś wściekle pod nosem, ale Pete i Sax, biegnąc z tyłu, nie rozróżniali słów.

- Ciekaw jestem, jak to robi - Sax, który kochał takie sytuacje, był zachwycony.

- To tu!

- Patrzcie! - zawołał Pete. - Teraz jest tam dwóch facetów!

Rzeczywiście. Drugi mężczyzna, wyższy i tęższy, też miał azjatyckie rysy. Wyraźna blizna, ciągnąca się od oka aż do szczęki, nadawała jego twarzy groźny i złowrogi wyraz.

“A może to nie z powodu blizny - pomyślał Bob. - Może facet naprawdę jest zły?”

Obaj piraci pospiesznie pakowali kasety do pudeł, które wrzucali do stojącej obok furgonetki. Było to bardzo dziwne, gdyż nikt inny nawet nie myślał o zwijaniu interesu. Kiedy Bob, Pete i Sax dotarli do stoiska, większość taśm znajdowała się już w samochodzie.

- Przyszedłem oddać te kasety - odezwał się uprzejmie Bob, wyciągając rękę z taśmami. - Proszę o zwrot pieniędzy. To są zwykłe podróby. Kosztowały mnie pięć dolarów.

Mężczyźni nawet na nich nie spojrzeli. Bardzo im się spieszyło. Mniejszy z niewiarygodną wprost szybkością układał kasety w kartonach, a ten z blizną biegiem

odnosił je do samochodu. Rozmawiali cicho, w nierozpoznawalnym dla Boba języku, i przez cały czas obserwowali otaczający ich tłum.

- Panowie - zaczął znowu Bob, tym razem głośniej, i zacisnął ręce na swoim pudle. - Ten cały interes śmierdzi z daleka. Chcę swoje pięć dolarów, i to zaraz.

Żadnej reakcji. Jakby Boba tam nie było.

- Bądźmy rozsądni - wtrącił Sax tonem poważnego człowieka interesu. - Wszyscy tutaj wiemy, że to pirackie nagrania. Chłopak chce swoją forszę. Wy nie chcecie, żeby zjawiała się tu policja. Nie utrudniajcie sobie życia i oddajcie szmal.

Wtedy facet z blizną znieruchomiał na moment. Podniósł głowę i nieprzyjemnym głosem wyrzucił z siebie kilka słów w niezrozumiałym języku. Potem spojrział na Boba nienawistnym wzrokiem i wyrwał mu z ręki kasety.

- Ej, ty! - Bob zachwiał się, próbując je odzyskać i równocześnie nie wypuścić z ręki swoich szkolnych skarbów.

Ale było za późno. Kasety zniknęły w paczce, do której mały ładował pozostałości ze stoiska.

Tego Pete nie mógł już znieść. Czuł, jak wszystkie mięśnie na szyi napinają mu się z wściekłości. Szybkim ruchem złapał obu mężczyzn za ręce i przytrzymał je w górze.

- Mój... kolega... chce... swoje... pieniądze - wycedził przez zaciśnięte zęby. - I to zaraz!

Coś dziwnego stało się z tamtymi dwoma. Ich twarze przybrały zadziwiający szarzielony odcień. Wydawało się, że obaj zaraz upadną. Pete był tak zaskoczony ich reakcją, że zwolnił na chwilę uchwyt.

Ta jedna chwila wystarczyła, żeby wyrwali się z uścisku. Potem złapali resztkę kaset i pognali do furgonetki. Pete wykonał skok nad stołem i pobiegł za nimi. Bob i Sax, którzy musieli okrążyć stoisko, zostali trochę z tyłu.

Nagle gdzieś w tłumie rozległ się wrzask. Towarzyszył mu odgłos szybkich kroków. Wciskając dwa ostatnie pudła do bagażnika, piraci odwrócili się ze strachem. Mały szybko zatrzasnął tylne drzwi, a ten z blizną rzucił się do kierownicy.

Dwaj nowi ludzie, którzy pojawili się w pobliżu, również nie wyglądali na sympatycznych. Najwyraźniej i oni kierowali się do samochodu. Śladem Pete'a przeskoczyli stolik. Jeden z nich, blondyn o zimnej, bezczelnej twarzy i wielkich stopach, z całych sił odepchnął Boba i Saxa, którzy weszli mu w drogę. Drugi miał azjatyckie rysy, zdecydowaną na wszystko minę i czarne, błyszczące z wściekłości oczy.



W jednej chwili blondyn wyciągnął małego z samochodu i zdzielił go w szczękę z taką siłą, że tamten upadł na ziemię. Blondyn nawet na niego nie spojrział, tylko zaatakował szoferkę. Złapał za szyję faceta z blizną i wywłókł go z auta. Rozpoczęła się ostra bijatyka.

Tymczasem mniejszy pirat próbował się podnieść. Kiedy wreszcie stanął, zataczając się na boki, zarobił następny cios. Azjatycki towarzysz blondyna wykrzykiwał coś w tym samym nieznanym języku. Mały nie odpowiadał. Zrobił unik i próbował uciec.

Pete, Bob i Sax popatrzyli po sobie.

- Co tu jest grane? - spytał Sax.

- Pojęcia nie mam - wzruszył ramionami Pete.

- Bardzo to dziwne - rzucił Bob. - Gdyby tutaj był Jupe, powiedziałby, że to sprawa dla Trzech Detektywów.

U ich stóp słychać było szarpaninę, głucho echo ciosów i wściekłe przekleństwa. Siły były równe - dwóch na dwóch. Pete chciał komuś pomóc, ale za nic nie mógł się zorientować, którzy z nich są "ci dobrzy".

- Sax... - zaczął.

- Mowy nie ma - przerwał mu Sax, zaplatając ręce na piersi. - Nawet nie wiadomo, co się tutaj dzieje.

Tłum ciekawskich gęstniał z każdą chwilą. Piraci byli na przegranych pozycjach. Nagle facet z blizną powziął desperacką próbę ucieczki. Oglądając się przez ramię, skoczył w kierunku samochodu. Blondyn, nie marnując ani sekundy, rzucił się za nim. Bob zorientował się, że stoi dokładnie na ich drodze, i cofnął się o krok. Niestety, było za późno. Poczul, że ktoś na niego wpada. Przewrócił się i uderzył głową w jakiś twardy przedmiot. Wypuścił z rąk pudło. Przed oczami pojawiły mu się czerwono-niebieskie kręgi. W głowie czuł nieznośny ból.

## ROZDZIAŁ 3

### JAK WE MGLE

- Bob! Bob! Słyszysz nas?

Bob z trudem uniósł głowę. Obok niego klęczeli Pete i Sax, a dalej... ktoś próbował ukraść jego pudło... Wyglądał na mniejszego z piratów. Co najdziwniejsze - unosił się nad ziemią... i on, i pudło płynęły sobie spokojnie w powietrzu.

Co się dzieje? Chyba nie zwariował? Próbował wstać, ale nie dał rady. Każda z jego nóg musiała ważyć tonę, a gdy do tego dodać kolejną tonę na ręce, trudno się dziwić.

Zrezygnowany zamknął oczy.

- Bob!

“Dlaczego ten Pete tak krzyczy?”

- Dobrze się czujesz? - Sax przynajmniej mówił ciszej.

Bob leżał płasko rozciągnięty. O włos od swojej głowy miał metalowe pudło na narzędzia - na sąsiednim straganie sprzedawali bowiem sprzęt do majsterkowania.

- Auuu - jęknął, znowu próbując wstać.

Pete przygwoździł go do ziemi.

- Nawet się nie waż - usłyszał głos Saxa. - Poczekaj, aż się lepiej poczujesz.

- Czy oni wciąż się biją? - Bob powoli otworzył oczy.

Potem namacał guz w tyle głowy. Bolało! Że też akurat musiał trafić w coś twardego.

- Sam zobacz - odpowiedział Sax.

Bob powoli przekręcił głowę.

- A jednak widzę - westchnął z ulgą.

Zniknęły kolorowe kręgi przed oczami. I nikt nie unosił się już w powietrzu. Przed nim stał zbity tłum i przyglądał się walce. Do Boba dochodziły odgłosy uderzeń i stłumione jęki.

Nagle facet z blizną wyszarpnął z samochodu wielki klucz francuski. Zamachnął się i trafił blondyna wprost w żołądek. Blondyn zachwiał się i krzyknął z bólu. Nie czekając ani chwili, bliznowaty dołożył mu w szczękę i pognął do szoferki. Zawarczał silnik.

Mniejszy pirat zrozumiał, że ma ostatnią szansę. Kopnął zniecka swojego azjatyckiego prześladowcę, wyrwał mu się i wskoczył na siedzenie obok kierowcy. W

tej samej chwili furgonetka ruszyła, wzniesając tumany czarnego kurzu. Azjata desperackim skokiem rzucił się na samochód, próbując dosięgnąć klamki. Było jednak za późno. Ręka obsunęła mu się po drzwiach, a on stracił równowagę i upadł na kolana.

I on, i blondyn patrzyli wściekli na ciężarówkę, która tymczasem wyjechała na wolną przestrzeń i przyspieszyła. Nie mieli żadnych szans. Blondyn z furią kopnął stolik, potem złapał swojego towarzysza i warknął mu coś do ucha. Tamten skurczył się cały i pokręcił głową. Blondyn wrzasnął coś znowu, odepchnął go brutalnie i skoczył w tłum.

Bob, Pete i Sax patrzyli na jedyne go uczestnika, który pozostał na placu boju. Zanim zniknął zauważyli, że ma szarą ze strachu twarz.

- Mogę się pożegnać ze swoją piątką - pokiwał głową Bob.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zastanawiał się Pete.

- Pamiętasz? Kiedy kupowałem kasety, sprzedawca ciągle się rozglądał. Jakby wypatrywał czegoś w tłumie. Czegoś albo kogoś - przypomniał sobie Bob.

- Myślisz, że spodziewał się tych dwóch?

- Kto wie. Może ten z blizną pojawił się później, dlatego że sprawdzał, czy nikt im nie zagraża.

- To ma sens - zgodził się Pete.

Bob znowu zaczął wstawać. Natychmiast poczuł pulsowanie w tyle głowy. Sax i Pete wzięli go pod pachy.

- Spokojnie, Rambo - zaśmiał się Pete.

- Jedna afera mi wystarczy - powiedział Bob. - Mam dziś randkę z Janą.

Pete przewrócił oczami, ale tak naprawdę poczuł ulgę, że Bob wrócił do formy.

- Nie zapomnij o swoich szkolnych śmieciach - mówiąc to sięgnął po pudło i wręczył je koledze.

Sax metodycznie otrzepywał się z kurzu. Miał bowiem zasady: jego spodnie musiały być bardzo czarne zawsze, bez względu na okoliczności.

Za ich plecami tłum podzielił się na dwie rozentuzjasmowane grupy, które relacjonowały sobie nawzajem co ciekawsze szczegóły całego zajścia. Najwyraźniej walka była dla nich wydarzeniem dnia.

- A może ci dwaj zaczęli się bić, bo piraci zrobili ich na szaro tak jak ciebie? - zastanawiał się Pete.

- Dobry pomysł. Sam marzę o tym, żeby ich dorwać w swoje ręce!

- Byle nie teraz - ostudził zapał Boba Sax. - Mamy jeszcze mnóstwo pracy.

- Rany! - zdenerwował się Pete. - Co z Łupsami?

Wszyscy trzej wrócili pod scenę, gdzie zespół szalał w najlepsze. Tutaj nic się nie zmieniło. Hałas był taki jak przedtem. Pchli targ zajmował tak wielką powierzchnię, że nikt nie zauważył walki, która odbyła się kilka alejek dalej.

- A jeśli blondyn i jego podręczny karateka byli muzykami? - wpadł na nowy pomysł Sax. - Istnieje coś takiego jak prawo autorskie. Wicie, nie można kraść cudzych prac, nie tylko piosenek, ale książek, filmów itd. No, na przykład - Łupsy piszą sami swoje kawałki. Należy im się trochę grosza, jeśli ktoś nagra ich piosenki.

- O rany! Chciałbym, żeby to się stało! - powiedział Bob z zapalem. - A byłoby jeszcze lepiej, gdyby to oni sami podpisali kontrakt nagraniowy. Teraz wcale im się nie przelewa.

- Mnie to mówisz? - spojrzał na niego Sax. - Sam byłbym wściekły, gdybym się dowiedział, że ktoś sprzedaje ich pirackie nagrania.

- Nie mówcie mi, że to się często zdarza - zdziwił się Pete.

- Niestety, tak - Sax miał poważną minę. - Niedawno w Los Angeles skazano faceta za sprzedaż nielegalnie nagranych kaset. To nie był żaden mały interes. Prasa podała, że jego działalność kosztowała przemysł fonograficzny trzydzieści dwa miliony! Rozumiesz? Trzydzieści dwie bańki strat!

Pete gwizdnął ze zdumienia.

- To kupa szmału - powiedział.

- Nie mówiąc o tym, co stracili artyści - kompozytorzy, piosenkarze, muzycy. Przecież nikt z nich nie dostał ani grosza z tantiem - dodał Sax. - Jeśli piracki interes rozwija się na wielką skalę, traci na tym mnóstwo ludzi.

Powoli zbliżali się do sceny. Pulsujące dźwięki rocka otaczały ich zewsząd. Nie można było się im oprzeć. Ludzie, zbici w ciasny krąg, podskakiwali, tańczyli i śpiewali razem z Łupsami, którzy właśnie kończyli swój numer.

Dla bezpieczeństwa Bob wsunął swoje skarby pod deski sceny.

- Nie da się załatwić interesów, kiedy Łupsy kręcą się w pobliżu - oświadczył Sax. - Pokażę wam ulotki, jak tylko zaczną następny kawałek. Nie poznałeś dotąd żadnego z nich, prawda, Pete?

- Nie - Pete miał nadzieję, że Sax nie zauważył jego tremy.

Nie peszył się nigdy w obecności piłkarskich sław, ale artyści to zupełnie co innego.

- Założę się, że wyskoczysz z butów - zaśmiał się Sax.

Nad nimi muzycy wydobyli z instrumentów zaskakujące, wysokie brzmienia. Jeszcze tylko finałowe wejście perkusji i - koniec. Zaczęła się wielka owacja. Publiczność biła brawo i szaleńczo gwizdała, gdy Łupsy po serii ukłonów zbiegli ze sceny.

Grzmot oklasków zmusił ich do powrotu. Pokazali się jeszcze raz i jeszcze raz, żeby pomachać fanom, aż w końcu pozwolono im zejść z estrady. Byli tak rozentuzjasmowani jak ich słuchacze.

- Hej, hej! - wrzasnął na widok Saxa wysoki, chudy młodzieniec z szopą słomianożółtych włosów i długą brodą. - I co o tym powiesz, chłopie? Ale daliśmy czadu, co?

Mówiąc to, z całych sił klepał Saxa po plecach wolną ręką, w drugiej ścisnął pałeczki.

- Zawsze dajecie czadu. Tony - Sax nie zwracał uwagi na wybijany na jego plecach rytm. - Takiego czadu jak nikt. To jest Tony, nasz perkusista - powiedział do Pete'a. - Facet, który swoimi pałeczkami wyczynia prawdziwe cuda. Słuchajcie wszyscy. To jest Pete Crenshaw, przyjaciel Boba.

Pete pochylił się nieśmiało w czymś przypominającym ukłon.

W tym czasie Tony wybijał już jakiś skomplikowany rytm na brzegu sceny. Poły jego białej koszuli podskakiwały, ukazując wytarte dzinsy.

- Słyszycie! - wołał. - Jak to się wam podoba? Rytm na siedemnaście ósmych.

- Niesamowite - powiedział Sax z szacunkiem w głosie. - A to jest Maxi - wskazał drobną młodą kobietę.

- Wokalistka - zaśpiewała Maxi.

Maxi miała śliczną buzię w kształcie serca i długie, czarne włosy. Ubrana była w ekstrawagancką czerwoną suknię ze skóry, mocno wypchaną na ramionach, ale bez rękawów.

"Wygląda, jakby sobie je odpruła" - pomyślał Pete, patrząc jak Maxi obejmuje Saxa w pasie.

Miała bardzo ładne ręce. I silne, bo Sax aż jęknął.

- Wielka wokalistka - powiedział.

- Tylko wielka? - Maxi parsknęła mu w nos i ścisnęła mocniej.

- Największa!

Zaśmiała się i zwolniła uchwyt.

- Zawsze tak uważałem - ciągnął Sax. - Skala głosu: trzy oktawy. Ta mała osoba potrafi zrobić cuda z najmarniejszą piosenką.

Maxi uśmiechnęła się słodziutko. Potem stanęła na palcach i poklepała Boba po policzku. Bob też się uśmiechnął. Bardzo, ale to bardzo szeroko.

“Nic dziwnego, że lubi tę pracę - pomyślał Pete. - Jest rozpieszczany przez piękne dziewczyny. I jeszcze mu za to płacą.” Okazało się, że nie tylko on obserwował Maxi.

- Romanse należą do zamierchłej przeszłości - obwieścił gość z ogoloną na łyso głową. - W erze nuklearnej wszelkie kontakty międzyludzkie trwają zaledwie chwilę.

- To Quill. Keyboard. Stworzy na nim każdy dźwięk - od organów po krople deszczu. Człowiek-orkiestra.

Quill skłonił się poważnie przed Pete'em. Słońce zaśniło na jego łysinie i odbiło się od małego złotego kolczyka, który miał w prawym uchu, jak wszyscy członkowie zespołu. Był ubrany w stary smoking i zwykłe spodnie z wielkimi dziurami na kolanach. Zamiast paska używał białego sznura do bielizny. Pete uznał, że przypomina stracha na wróble.

- Tak w ogóle, życie w dzisiejszych czasach pozbawione jest jakiegokolwiek znaczenia - kontynuował Quill. - Jesteśmy tylko marną protoplazmą w międzygalaktycznym synteźatorze.

Pete nie wiedział, co odpowiedzieć. Nigdy w życiu nie prowadził podobnej rozmowy. Nie mógł się doczekać, żeby opowiedzieć wszystko Kelly.

- Nie przejmuj się Quillem - pocieszyła go Maxi. - Jego nikt nie rozumie.

Potem wyciągnęła do przodu przystojnego chłopaka w poplamionej tweedowej marynarce i obcisłych białych sztruksach, które wetknął w kowbojskie buty.

- A oto Marsh - powiedziała.

Marsh miał rozwichrzone brązowe włosy, wysokie czoło i szare oczy pałające niepokojącym blaskiem.

- Gitarzysta i kompozytor - w głosie Saxa zabrzmiała nuta dumy. - Ten gość pisze muzykę dla Łupsów. Czy muszę mówić więcej?

- Jestem pod wrażeniem - powiedział Pete szczerze. - I naprawdę wierzę, że wygracie w sobotę.

- Co wygracie w sobotę? - wpadł mu w słowo Marsh.

Zmarszczył brwi, a jego oczy jakby przybladły.

- Co jest w sobotę? - powtórzył.

- Finał konkursu Jimmy'ego Cokkera - rozbawiony nieco Sax zwrócił się z wyjaśnieniem do Pete'a. - Marsh miewa często kłopoty z codziennością. Cały czas przebywa w swoim świecie. Słyszy w głowie tylko muzykę. Mam rację, bracie?

- To taki nasz roztargniony profesor - wtrąciła Maxi.

- Nie mogę - chrząknął Marsh strasznie zakłopotany.

- Czego nie możesz?

- Nie mogę zagrać w sobotę wieczór. Biorę ślub. Taak. Zdecydowaliśmy się wczoraj. W sobotę o ósmej. Chyba. Trzeba odwołać występ.

## ROZDZIAŁ 4

### FAŁSZYWY TROP

Zapadła grobowa cisza.

- Co?! - z gardła Maxi wydobyło się coś, co przypominało skrzek.

- Wszystko diabli wzięli! - jęknął Tony.

O czym ten Marsh myślał? Sam tylko udział w sobotnim konkursie zrobi z nich znany zespół! A jeśli wygrają, czeka ich tournee, kontrakt z wytwórnią płytową i sława!

Sax i Bob próbowali przekonać Marsha. Tony wątpił w jego zdrowie psychiczne. Quill wyłożył swoją teorię na temat bezsensowności instytucji małżeństwa. Maxi robiła miny i tupała nogami. Na nic się to nie zdało. Marsh ani myślał ustąpić. To jest jego życie, a on nie ma zamiaru odwoływać ślubu. Koniec dyskusji.

Maxi nie wytrzymała.

- Idiota! - wybuchnęła, okładając go pięściami. - Egoistyczny błazen!

Potem wymierzyła mu policzek i pobiegła do schodów. Mężczyźni byli tak zdumieni jej wybuchem, że natychmiast przestali się kłócić.

- Odchodzę! - rzuciła jeszcze przez ramię. - Znajdźcie sobie kogoś innego. Niech już dzisiaj śpiewa zamiast mnie.

Wszyscy wstrzymali oddech. Pete zdał sobie sprawę, że bez Maxi, tak jak bez Marsha, zespół nie może grać. Nawet Marsh przejął się tym, co zaszło.

- Poczekaj! - krzyknął Sax, rzucając się w pogoń za Maxi.

Złapał ją za ramię i przytrzymał. Wyrwała mu się z furią i odsunęła o krok. Stojąc ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, patrzyła na nich wściekłym wzrokiem. Z taką lepiej nie zaczynać!

- Jesteś solistką - odezwał się surowo Sax. - Koncert nie jest jeszcze skończony.

- Wielkie rzeczy! Powiedz to Marshowi. Bo on jakby nigdy nic zrywa sobotni występ, a ty nawet nie starasz się, żeby coś z tym zrobić.

- Maxi, poczekaj chwilę - Bob nachylił się do dziewczyny i szepnął jej coś do ucha.

Pokręciła ze złością głową, ale potem kiwnęła nią raz i drugi. W tym samym czasie Sax wrócił do Marsha.

- Kto jest twoją narzeczoną? - zapytał.

- Carmen Valencia.

- Carmen Valencia! - krzyknęła Maxi. - Ona? Chcesz ożenić się z Carmen?



- Nie ma sprawy - powiedział Sax. - Znam ją. Zadzwoń do niej i przełożymy datę ślubu.

- Dostanie hysterii - ostrzegł Marsh, chociaż widać było ulgę na jego twarzy. - Przecież wiecie, jaki ona ma temperament.

- Temperament! - wrzasnęła Maxi z oburzeniem. - Przeceniasz ją, chłopcze. Ona i temperament. Udaje! Falszuje jak w każdej piosence.

Pete z trudem powstrzymał śmiech.

Sax spojrział na zegarek.

- Koniec przerwy - powiedział rzeczowo. - Pora na następny kawałek.

Marsh, sprawca całego zamieszania, westchnął ciężko.

- Co gramy w tej części? - zapytał, odgarniając włosy opadające mu na twarz.

W drodze na scenę Tony przypominał mu kolejność piosenek. Quill uśmiechnął się do Saxa z wdzięcznością i usiadł za klawiaturą.

- Pax vobiscum - powiedział po łacinie. - Pokój niech będzie z wami - powtórzył.

- Goręcej tu niż na meczu ligi koszykówki - pokręcił głową Pete.

- Zwykle jest spokojniej - mruknął Bob.

- Przez ten ślub zrobiła się afera - dorzucił Sax. - Ale załatwimy szybko całą sprawę.

- Wiecie... Nie rozumiem. Marsh mówił o tym tak... tak obojętnie - Pete był zaszokowany - jakby się wybierał na pizzę czy coś podobnego...

- Cały Marsh - wzruszył ramionami Sax. - Był zaręczony ze dwanaście razy, o ile mnie pamięć nie myli. Teraz pewnie też nic z tego nie wyjdzie.

- Co powiedziałaś Maxi? - zapytał Pete. - Zmiękła od razu.

- To było proste. Marsh już dwa razy był zaręczony z Maxi. Za każdym razem ona z nim zrywała. Co nie znaczy, że pozwoli mu wziąć ślub z jakąś inną. Co to, to nie. Więc powiedziałem jej, że pomysł z małżeństwem wziął się prawdopodobnie z nerwów. Zjadła go trema przed poważnym występem i musiał się jakoś rozładować, a tak naprawdę kocha wciąż tylko ją. Trzeba dać mu trochę czasu, żeby to sobie uświadomił.

- Nie myślałeś przypadkiem, żeby zatrudnić się w jakimś dziale porad miłosnych? - zaśmiał się Pete.

- Spadaj.

Na scenie Marsh wziął pierwszy akord. Natychmiast dołączyli do niego pozostali i muzyka wybuchła czystym, wibrującym dźwiękiem. Kolejny superprzebój

Łupsów. Pete zastanawiał się, czy każdy rockman musi być świrem, żeby tak grać. Doszedł do wniosku, że nie ma to dla niego znaczenia.

- A teraz do rzeczy - Sax uznał, że nadszedł czas na poważną rozmowę o interesach. - Musimy ustalić strategię na sobotę. Chciałbym, żeby na koncercie w Los Angeles pojawiły się setki fanów Łupsów. Tłumy oklaskujące zespół zawsze robią wrażenie na sędziach. Musisz je rozвесić - i wręczył Bobowi stos żółtych ulotek - w całym mieście. I to zaraz.

- Co powiesz, jeśli zrobię to jutro z samego rana? - zapytał Bob. - Mam zepsuty samochód.

- Naprawię go jeszcze dzisiaj - obiecał Pete.

- Może być - zgodził się Sax. - Ale musisz zacząć naprawę wcześniej.

Potem spojrzął na scenę, gdzie Łupsy grali i tańczyli w idealnej synchronizacji z rytmem i z partnerami, i dodał:

- Czasem im odbija, ale trzeba przyznać, że umieją grać. Z takim czadem powinni w sobotę zgarnąć pierwszą nagrodę.

Jupiter Jones siedział przy stole i przypatrywał się fragmentom starego szpulowego magnetofonu. Maszyna, wielkości sporego pojemnika na chleb, była poprzedniczką dzisiejszych odtwarzaczy kasetowych. Wszystkie części leżały dokładnie w takiej kolejności, w jakiej Jupiter je wymontował.

Po namyśle uznał, że sprzęt jest w porządku, wymaga jedynie oczyszczenia i regulacji. Za chwilę będzie miał prawie profesjonalny, studyjny magnetofon. Wyobrażał już sobie jakość dźwięku! Z takim sprzętem można nagrywać płyty!

- I co zamierzasz zrobić z tym śmieciem? - zapytał kiedyś Pete ze sceptyczną miną.

Jupiter zignorował ton Pete'a. Bob uśmiechnął się tylko, kiedy Jupe odpowiedział ze zwykłą pewnością siebie:

- Przyszło mi do głowy, że powinniśmy z wujem Tytusem go sprzedać i nieźle na nim zarobić.

Wszyscy trzej byli właśnie w składzie wuja Tytusa. Jupe siedział w małej szopie, w której urządził warsztat. Na jej dachu umieścił antenę satelitarną. Wewnątrz na półkach leżały setki części i układów elektronicznych. Szopa stała obok ich Kwatery Głównej, czyli starej przyczepy kempingowej.

Z drugiej strony przyczepy znajdował się wypačkany olejem kanał, w którym

Pete razem z dalekim kuzynem Jupitera - Tayem Casseyem (o ile Tay był akurat w mieście) - reperowali samochody swoje, przyjaciół, a czasem nawet obcych klientów.

Teraz Pete ślęczał tam nad starym volkswagenem garbusem należącym do Boba.

- Rany, mam ochotę wysadzić to pudło w powietrze - warknął, kiedy zobaczył kolegów spoglądających na niego z góry.

Ujął się pod boki i z ponurą miną spoglądał w silnik samochodu. Garbus nie zapalił poprzedniego dnia po południu. Na szczęście Bob postawił go tuż przed bramą składu, więc bez kłopotu przepchali go do środka.

- Czy dobrze słyszę? - zawołał Bob. - Supermechanik Crenshaw publicznie przyznaje się do porażki?

- Przestań! - Pete nie miał ochoty na żarty. - Tylko Tay umiałby coś z tym zrobić. Jupe, nie wiesz, kiedy on wraca?

- Nikt nic nie wie - odpowiedział Jupiter. - Zwykle daje znać, zanim się pojawi w domu.

Tay miał dwadzieścia siedem lat. Był genialnym mechanikiem, ale jednocześnie nie mógł długo usiedzieć w jednym miejscu. Skład wuja Tytusa był jego bazą wypadową. Pojawiał się zazwyczaj raz w miesiącu na tydzień lub coś koło tego. Ponieważ właśnie mijały trzy tygodnie jego nieobecności, chłopcy mieli nadzieję, że niedługo go zobaczą.

- Chcesz powiedzieć, że z moim samochodem koniec? Pytam nie tylko dlatego, że muszę jutro rano rozwiesić te wszystkie ogłoszenia. - Bob miał zmartwioną minę. - Myślałem, że skoczę jeszcze raz na pchli targ i powęszę za tymi piratami. Do tej pory trafia mnie, kiedy pomyślę o moich pięciu dolarach! Nie mówiąc już o tym, że wieczorem wybieram się z Janą do kina...

- Lepiej sprawdź, czy ona ma samochód - powiedział Pete.

- Rany! - zrezygnowany Bob powlókł się do przyczepy.

Jupiter wrócił do warsztatu.

- Zawór ssania w porządku - przemawiał Pete do silnika. - Dławik w porządku. Wszystkie zawory sprawdzone. Co się z tobą dzieje, autko?

- Jupe! - zawołał Bob, stając w drzwiach przyczepy ze słuchawką w ręku. - Jana powiedziała, że możemy wziąć jej samochód, ale jest u niej koleżanka, która też chce jechać. Co ty na to?

- Co to znaczy: "Co ja na to"? - odpowiedział Jupiter. - Przecież koleżanka Jany

nie potrzebuje mojej zgody, żeby pójść do kina.

- Nie udawaj - Bob popatrzył na niego z oczekiwaniem.

Jupiter dobrze wiedział, o co chodzi. Ale prędeż zgodziłby się na spotkanie z uzbrojonym bandytą w ciemnej alei niż na kolejną, upokarzającą randkę w ciemno.

Pete nie mógł się powstrzymać. Wszedł do szopy, żeby usłyszeć, jak Jupiter wywinie się tym razem.

- Jestem zajęty - Jupe pochylił się nisko nad stołem.

- Mówi, że jest bardzo zajęty - powtórzył Bob do telefonu. - Co? No dobrze - powiedział i odwrócił się do Jupitera. - Chce z tobą mówić. Daj spokój, Jupe. Wyluzuj się.

Jupe mruknął coś o tym, żeby Bob poszedł się powiesić. Potem odłożył śrubokręt na miejsce. Powoli odsunął się od stołu. Wreszcie wstał.

Jupiter miał okrągłą twarz, ciemne włosy i - jak to sam określał - był szeroki w pasie. Poza tym cechowała go wybitna inteligencja, dzięki której radził sobie ze wszystkimi problemami, z wyjątkiem dwóch - nadwagi i nieśmiałości wobec dziewczyn.

Chrząknął i z oporami sięgnął po słuchawkę.

- Słucham, tu Jupiter Jones - i w jednej chwili zaczerwienił się po uszy. - Mnie też miło cię poznać... - zamknął oczy i przełknął ślinę. - Nie, nie jestem Skorpionem... Przykro mi, ale mam inne plany na dzisiejszy wieczór. Już nie da się ich zmienić.

- Jupe! - zgodnie wrzasnęli Bob i Pete, słysząc to bezczelne kłamstwo.

- Dziękuję, że o mnie pomyślałeś - zakończył rozmowę Jupe, ignorując okrzyki kolegów.

Oddał Bobowi słuchawkę i otarł pot z czoła.

- No to o siódmej - rzucił Bob do słuchawki, patrząc krzywo na Jupitera. - Też nie mogę się doczekać. Cześć, Jana.

- Już widziałem ten film - obwieścił Jupiter. - Książka jest o wiele lepsza.

I biorąc do ręki śrubokręt, dodał:

- Nie mówiąc o tym, że mam nowy program odżywiania. - Jupiter uznał, że słowo "dieta" niesie za sobą negatywne skojarzenia. - Nazywa się "kromka z masłem", bo na każdy posiłek trzeba jeść chleb z masłem. Jeśli pójde do kina, zacznę opychać się prażoną kukurydzą, orzeszkami i batonami. Nie chcę zmarnować całych dwóch tygodni wyrzeczeń.

Poklepał się z nadzieją po brzuchu, który jednak sterczał tak samo jak zwykle.

Bob i Pete spojrzeli na siebie z uśmiechem. Jeśli Jupe coś postanowił, nie było na to siły.

- I jeszcze jedno. Muszę zastanowić się nad dzisiejszymi zdarzeniami na pchlim targu. A swoją drogą, Bob, dlaczego wybuliłeś forszę na pirackie nagrania?

- To była okazja! Trzy kasety za piątkę!

- Czy zechciałbyś powtórzyć, że to była okazja? - Pete popatrzył chytrze na Boba i wszyscy roześmiali się głośno.

- Chciałeś dostać coś za nic - parsknął Jupe - a skończyło się na tym, że nie dostałeś nic za całe pięć dolców.

- Zejdź ze mnie, Jupe. Sam czatujesz na okazje. Oni mnie okantowali. I to jest święństwo. Zbyt ciężko pracuję na chleb.

- Jak myślicie, czy ci dwaj mogli być oszukanymi klientami?

- A kim innym? - szybko odpowiedział Pete.

- Nie wiem - pokręcił głową Jupiter. - Wydaje mi się tylko, że oszukany klient zawsze żąda zwrotu pieniędzy. Czy oni mówili coś o pieniądzach?

- Jeden coś krzyczał, ale w obcym języku - odpowiedział Bob.

- No to dalej nic nie wiemy. Czy któryś z was zapamiętał przynajmniej numer rejestracyjny furgonetki?

Pete otworzył usta. Obaj z Bobem popatrzyli na siebie ze wstydem.

- Nie - przyznali.

Jupiter pokiwał ciężko głową. Zachowali się jak amatorzy.

- A może jest coś, jakiś ślad, o którym zapomnieliście? Słowo, rzecz...

Niespodziewanie dla wszystkich; Pete skoczył na równe nogi i pognął do przyczepy.

- Nie zadzwoniłem do Kelly! - krzyknął przez ramię. - Pomyśli, że o niej zapomniałem.

- Spójrz prawdzie w oczy. Naprawdę o niej zapomniłeś - rzucił za nim Jupiter z nieodpartą logiką i zabrał się do czyszczenia śrub.

Analizował wydarzenia sprzed paru godzin. Chodziło o coś więcej niż pięć dolarów Boba. Szarpanina była ważniejsza. Nie miał już wątpliwości, że pojawiła się nowa sprawa do rozwiązania.

Bob też myślał o nieudanej transakcji. Był rozczarowany swoim zachowaniem. I wściekły na siebie. Zachował się jak głupkowaty chytrus. Nic dziwnego, że został wystawiony do wiatru. Wydawało mu się, że coś sobie przypomina. Zamazany obraz

przepląnął przed oczami. Ale nie zdołał go zatrzymać.

Nagle klepnął się w czoło. Ze też wcześniej nie przyszło mu to do głowy! Złapał za słuchawkę, kazał Pete'owi, który wciąż rozmawiał z Kelly, natychmiast się rozłączyć, i zadzwonił do biura numerów. Poprosił o telefon do administracji targowiska. W pośpiechu zapisał numer na dłoni i kręcił dalej.

- Szósta alejka licząc od estrady - podnieconym głosem mówił do aparatu. - Tak, chodzi mi o stoisko z kasetami. Dziękuję - znowu nabazgrał coś na ręce.

- Stoisko wynajął niejaki Prem Manurasarda, zamieszkały w Rocky Beach, ulica San Martin 434 - oznajmił Jupiterowi, który natychmiast sięgnął po książkę telefoniczną.

- Nie ma takiej osoby - powiedział po chwili.

Zadzwonili znowu do biura numerów. Nie było abonenta o tym nazwisku.

- Sprawdźmy adres - Bob nie zamierzał się poddać.

- Musimy iść do komputera. Mam w nim rejestr telefonów według ulic.

Jupiter trzymał komputer w przyczepie ze względu na klimatyzację. Już od drzwi słyhać było Pete'a.

- Ależ - tłumaczył się - oczywiście, że o tobie pamiętam. Cały czas.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jupiter natychmiast włączył komputer.

- Mam odpowiedź, ale wątpię, czy ci się spodoba - powiedział po chwili. - jest San Martin 432 i 436. Nie ma 434.

- Co to znaczy?

- Albo to pusta parcela, albo na ulicy jest tak ciasno, że nie zmieścił im się dom pod 434.

- Fałszywy adres - jęknął Bob. - Nasz jedyny trop!

Jupiter z podejrzaną radością kiwnął głową.

- To mnie nie powstrzyma - oznajmił Bob kategorycznie - Mam zamiar złapać tych oszustów bez względu na koszty.

## ROZDZIAŁ 5

### TAJEMNICZE SZPULE

Następnego ranka ciepłe promienie słońca obudziły Boba. W kompletnym popłochu usiadł na łóżku. Przecież od świtu miał rozlepić ulotki o sobotnim występie Łupsów! Całkiem o tym zapomniał!

Randka z Janą udała się nadzwyczajnie i on, nieszczęsny idiota, zapomniał o całym świecie! Aż się wzdrygnął, kiedy spojrzął na zegarek. Była dziesiąta! Na domiar złego wciąż nie miał samochodu.

Ubierając się pospiesznie, myślał o jakimś sensownym rozwiązaniu.

- Warto spróbować - mruknął do siebie i pognął do holu, żeby zadzwonić.

W domu było cicho. Oboje rodzice dawno wyszli do pracy. Ojciec Boba był reporterem i wcześniej zaczynał dzień, mama pośredniczyła w handlu nieruchomościami i często załatwiała sprawy w mieście.

Wystukał numer i odchrząknął, przygotowując się do rozmowy.

- Cześć, Sax. Mówiłem ci wczoraj o samochodzie, prawda? No więc Pete wciąż nie może go naprawić... i... chciałem zapytać... czy nie pożyczylbyś mi karawanu? - Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź.

- Bierz go, chłopcze - Sax wyraźnie się spieszył. - Tylko chcę tu widzieć twoje zwłoki natychmiast! Musimy porozmawiać! - i rzucił słuchawkę.

Bob odetchnął z ulgą. Ale ma wspaniałego szefa! Teraz musi gnać. Najlepiej na rowerze! Ulotki wrzuci do plecaka. Powinny się zmieścić.

Wyciągnął spod łóżka karton ze szkolnymi śmieciami i sięgnął po plecak. Nagle zauważył coś dziwnego. Między jego rupieciami leżała brązowa papierowa torba. Nie było jej tam przedtem. Zajrzał do środka i zobaczył dwa płaskie pudełka z napisem "Amplex. Taśma 1/4 cala".

W pierwszym była szpula z taśmą magnetofonową nawiniętą na grubość co najmniej dziesięciu cali. W drugiej - to samo. Szpule oznaczone były cyframi 1 i 2.

Zdziwiony wpatrywał się w torbę. Skąd wzięła się w jego rzeczach? I co zawierają taśmy?

Nagle zadźwięczały mu w uszach słowa Saxa. Przecież miał się natychmiast u niego zjawić! Wcisnął ulotki do plecaka i ze znalezionymi taśmami pod pachą wskoczył na rower. Pojechał prosto do składu staroci wuja Tytusa.

Jupiter był już w szopie.

- Co to jest? - znieruchomiał z kromką chleba z masłem w powietrzu, kiedy Bob rzucił mu na stół dwa białe pudełka.

- Jupe, sprawdź to, dobra? Muszę lecieć. Znalazłem je w swoich szkolnych rzeczach. Strasznie się spieszę. To może być coś ważnego. Nie mam teraz czasu...

- Nic już nie mów! - Jupiterowi zabłyśły oczy.

Wcisnął do ust cały chleb, złapał pudełka i dokładnie się im przyjrzał. Czuł, jak dreszcz podniecenia przelatuje mu po krzyżu. Uwielbiał takie chwile.

Tymczasem Bob pedałowal co sił do domu Saxa, odległego zaledwie o milę. Drzewa, przechodnie, zaparkowane samochody przelatywały obok niego w pędzie. W pewnej chwili zauważył kątem oka ciężarówkę jadącą po jego prawej stronie. Chociaż miał głowę zaprzątniętą innymi sprawami, niebieski zwałisty dodge wydał mu się znajomy. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, skąd go zna. Przecież taką furgonetką uciekli wczoraj piraci. Z okna samochodu wyglądała twarz o znajomych, azjatyckich rysach. To ten facet sprzedal mu lewe kasety. Co on tutaj robi?

- Hej, ty - wrzasnął Bob. - Oddawaj moje pięć dolarów!

Azjata cofnął się gwałtownie.

- Prem! - zawołał do kierowcy.

Za kierownicą siedział obrzydliwy typ z blizną. Bob usłyszał, że mówią coś szybko w obcym języku. Tym razem nie da się wykiwać! Zapamięta numer rejestracyjny!

Ciężarówka jechała jednak zbyt blisko. Widział tylko jej niebieski bok. Nagle gwałtownie przyspieszyła. Bob wyteżył wzrok, czekając aż pokaże się tylna tablica. Zobaczył tylne drzwi i... nic więcej. Tablica była pokryta grubą warstwą zaschniętego błota. Potem kierowca gwałtownie skręcił i dodge zniknął za rogiem.

Przeklinając swój zepsuty samochód, Bob popedałowal do Saxa. Nie miał pojęcia, co myśleć o tym spotkaniu.

Bob i Celesta siedzieli na składanych płóciennych krzesłach w biurze Saxa. Dookoła na ścianach wisały fotosy z autografami wszystkich artystów i zespołów, których promowała agencja Rock-Plus.

Sax z zatroskanym wyrazem twarzy chodził z kąta w kąt jak zamknięte w klatce zwierzę - od starego pianina do nowoczesnej wieży i z powrotem.

- Rzecz w tym, dzieciaki - mówił - że muszę natychmiast jechać do Omaha i zaopiekować się mamą. Lekarze mówią, że to nie jest bardzo poważna operacja, ale



uważam, że muszę tam być, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Przerwał, oparł się ciężko o biurko i próbował się uśmiechnąć.

- Teraz wy w dwójkę musicie prowadzić biuro. Wiem, że sobie dacie radę.

- A co z występem Hula Łupsów? - zaniepokoił się Bob.

- Wrócę w sobotę rano. Pilnujcie, żeby się nawzajem nie pozabijali. I nie brali z nikim ślubu.

- Dobra - uśmiechnął się Bob.

- Opowiedziałem Celeście o tym, co działo się wczoraj... Celesta, studentka college'u, pracowała na pół etatu jako sekretarka Saxa. Była wysoką, postawną blondynką i prezentowała się wspaniale.

- Maxi i Marsh zawsze zachowują się histerycznie - powiedziała. - Ciekawa jestem, czy kiedyś się zejda?

- Nie myślę, żeby świat był gotów na taką kombinację - oznajmił Sax. - To piorunująca mieszanka.

Śmiali się jeszcze, kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytała Celesta wstając.

- Nie. Mnie już zresztą tu nie ma - Sax wyciągnął spod biurka zakurzoną skórzaną teczkę i wepchnął do niej plik papierów. - Muszę zostawić trochę miejsca na bieliznę - mruknął do siebie.

Bob wstał.

- Prawda, karawan - przypomniał sobie Sax, rzucając Bobowi kluczyki. - Kiedy skończysz robotę, oddaj kluczyki Celeście. Nie zamartwiaj się Łupsami. Ulotki są w tej chwili najważniejsze. A oni wyczerpali już tygodniowy limit awantur.

- Obyś miał rację.

Właśnie się żegnali, kiedy w drzwiach stanęła Celesta.

- Pan John Henry Butler do ciebie - powiedziała.

- Ja tylko na sekundę, Sandler - usłyszeli nosowy głos z pokoju obok. - Przykro mi, że zabieram twój cenny czas, ale byłbym zachwycony, gdybyś zgodził się poświęcić mojej marnej osobie chwilę. Jeśli pozwolisz, chciałbym porozmawiać o tej sensacyjnej grupie, którą się zajmujesz. Jak oni się nazywają? Jakoś dziwnie. Hula Łups, prawda?

Celesta nie odsunęła się od drzwi nawet na krok. Nie miała zamiaru wpuścić Butlera, zanim nie usłyszy zgody szefa.

- Ale sobie wybrał chwilę - mruknął Sax, przewracając oczami.

John Henry Butler był jednym z najbardziej wpływowych krytyków muzyki pop

w całej południowej Kalifornii. Jego recenzje ukazywały się dwa razy w tygodniu w największym dzienniku Los Angeles. Wszyscy wiedzieli, że jednym zdaniem może zrobić gwiazdę z całkiem nieznanego artysty.

Sax podjął szybką decyzję.

- Jack! - zawołał uśmiechając się szeroko i wyszedł Butlerowi naprzeciw. - Bardzo mi miło, że wpadłeś. Wejdz, proszę. Zrób nam kawę, Celesto, dobrze?

Bob usunął się z drogi, kiedy Sax wprowadził do pokoju niskiego, kulfoniastego człowieka około pięćdziesiątki, z małymi, niebieskimi oczkami i przeredzonymi, siwymi włosami. Cały pokój wypełnił się od razu zapachem drogiej wody kolońskiej.

- Oto mój asystent, Bob Andrews.

- Niezwykle mi miło. Czy mam przyjemność poznać jednego z członków zespołu Hula Łups? - Butler z ciekawością mierzył Boba od stóp do głów.

- To mój asystent - powtórzył Sax.

- Sax jest bardzo miły - powiedział Bob, wyciągając rękę - ale naprawdę jestem tylko jego chłopcem do wszystkiego.

- Ooo! - Butler wyglądał, jakby chciał cofnąć dłoń. Pozwolił jednak ucisnąć Bobowi czubki swoich palców i natychmiast schował rękę do kieszeni wytwornej jedwabnej marynarki. "Chyba po to, żeby ją zdezynfekować" - pomyślał Bob, ale głośno powiedział:

- Miło mi pana poznać.

- Nie mam co do tego wątpliwości - mruknął Butler do Saxa i przeszedł do sprawy. - Rozważam w myślach pewien pomysł. Zastanawiam się, czy nie ogłosić, że Hula Łups są moimi faworytami na zwycięzców konkursu Cokkera. Nie uważasz, że to wspaniałe?

Saxowi na moment opadła szczęka. Szybko się jednak pozbierał.

- Świetny wybór, Jack. Dowodzi spostrzegawczości.

Butler obejrzał dokładnie oba płócienne krzesła, zanim zdecydował się usiąść na jednym z nich. Zawsze nieprzenikniony Sax, teraz aż czerwony z wrażenia, usiadł za biurkiem. Bob cicho wysunął się z pokoju.

W sekretariacie szalała Celesta. Była wściekła. Z hukiem ustawiła na biurku dwa kubki i sięgnęła po słoik z kawą.

- Uszczypnął mnie - powiedziała z gniewnym błyskiem w oku. - Możesz w to uwierzyć?! Ten obleśny staruch! Stał za mną w drzwiach i śmiał mnie uszczypnąć! Świnia. Gdyby nie to, że Saxowi zależy na jego opinii, dałabym mu w twarz.

- I dobrze byś zrobiła - zgodził się z nią Bob. - To palant. Co prawda, szczypiąc właśnie ciebie, wykazał, że ma dobry gust - dodał.

- Baaardzo ci dziękuję za taki komplement - Celesta rzuciła na tacę łyżeczki i cukier. - Idę. Niech sobie ma tę swoją kawę. Ale jest wstrętny, prawda? Wygląda jak tłusta, biała ropucha.

Bob roześmiał się. Miała rację. Butler rzeczywiście wyglądał jak tłusta ropucha. Na szczęście Celesta też zaczęła się śmiać.

Bob z szacunkiem prowadził błyszczącego, czarnego cadillaca przez ulice Rocky Beach. Gdziekolwiek się pojawił, ludzie przystawali i oglądali się za długim, eleganckim pojazdem.

Sax kupił karawan dziesięć lat temu na aukcji zabytkowych aut, dodał tylne siedzenie i doprowadził cały samochód do nienagannego stanu. Wewnątrz była oryginalna, skórzana tapicerka i deska rozdzielcza z orzechowego drewna. Była to prywatna własność Saxa, chociaż czasami agencja używała cadillaca do celów transportowych.

Bob z szacunkiem ustawił samochód obok parkometra, złapał plecak i wyskoczył na chodnik. Ta część śródmieścia pełna była małych kafejek i barów, w których przesiadywali uczniowie i studenci. Uznał, że w takim miejscu znajdzie najwięcej fanów rocka, którym należy przypomnieć o udziale Łupsów w sobotnim konkursie.

Przypinał ulotki do tablic informacyjnych po obu stronach ulicy, zostawiał je na słupach ogłoszeniowych, wchodził do wszystkich sklepów, pytając czy może przylepić afisze na oknach wystawowych. Po godzinie wyczerpanej pracy wstąpił do baru na pączka. Odczekał chwilę w kolejce, myśląc co dalej.

Zdecydował, że przejdzie na główną ulicę Rocky Beach i zostawi ulotki w księgarniach i kawiarniach, których było tam mnóstwo. Skończył pączka, oblizał palce i skierował się skrótem w tamtą stronę.

Zrobił zaledwie kilka kroków. Nagle usłyszał dziwny hałas w bramie, którą właśnie mijał. Zawahał się przez chwilę i już miał się odwrócić, kiedy ktoś zarzucił mu na głowę grubą, czarną płachtę, złapał za ręce i zdarł z ramion plecak.

Nie dosyć, że nic nie widział, to jeszcze nie mógł się poruszyć.

## ROZDZIAŁ 6

### PEDEM PRZED SIEBIE

Bob stał w ciemności, kompletnie ogłupiały. Dochodziły do niego jedynie stłumione dźwięki ulicy. Ktokolwiek go trzymał, nie mówił nic. Co dziwniejsze - nic nie robił.

- Kto to? - zapytał Bob głośno, starając się zachować spokój.

Usłyszał tylko szelest.

Nagle uświadomił sobie, że ma wolne nogi i że jest trzymany od tyłu. Szybkim i precyzyjnym ruchem pochylił się do przodu i wykonał kopnięcie w tył znane wszystkim karatekom jako ushiro-kekomi.

Trafił. Usłyszał jęk bólu. Człowiek, który go trzymał, zwolnił uścisk. Bob poleciał do przodu. Na szczęście, on i Pete ćwiczyli karate regularnie!

Za plecami usłyszał oddalające się kroki. Zdarł czarną szmatę z głowy i spojrzał w uliczkę. Pusta. Nie miał pewności, czy napastnik był jeden, czy było ich dwóch.

Pod jego nogami leżał plecak i rozrzucone ulotki. Bob dokładnie pamiętał, że zaciągał suwak, stojąc w kolejce po pączka. Napastnik musiał więc celowo otworzyć go i wyrzucić całą zawartość na ziemię.

Komu mogło zależeć na ulotkach? A może facet szukał czegoś innego? Na przykład dwóch pudełek z taśmami, które nie wiadomo jakim cudem znalazły się dziś rano wśród jego rzeczy?

Dopiero o wpół do trzeciej po południu Bob wsiadł na rower i popedałował do składu staroci. Wcześniej musiał odprowadzić karawan i oddać Celeście kluczyki. Przy okazji sprawdzili, czy wśród Łupsów panuje spokój.

Przejeżdżając przez bramę składu, omal nie spadł z roweru. Wokoło słychać było wspaniałe, krystalicznie czyste dźwięki rock'n'rolla! Dochodziły najwyraźniej z szopy Jupitera. Bob zajrzał do środka. Jupe i Pete siedzieli na krzesłach, z nogami na stole i rękami założonymi za głowę, i z błogimi minami wsłuchiwali się w muzykę.

Na podłodze leżał talerz z okruchami czegoś, co już zostało zjedzone.

- Kto to? Barbarzyńcy? - zapytał Bob stłumionym głosem.

- Ciii - odpowiedział Pete.

Jupiter nawet nie otworzył ust. Na ogół nie przepadał za rockiem, ale teraz siedział z przymkniętymi oczami, kompletnie zatracony w innym świecie. "To lepsze

niż chleb z masłem” - myślał.

Bob oparł rower o swojego volkswagena i przysiadł obok nich. Muzyka dochodziła ze starego magnetofonu, w którym Jupiter grzebał przez kilka ostatnich dni. Bob przyjrzał się uważnie urządzeniu i wybałuszył oczy. Jeśli go wzrok nie mylił, słuchali właśnie taśmy, którą dał Jupiterowi dziś rano do identyfikacji!

- Chłopaki... - zaczął.

- Ciii! - zgodnie powiedzieli Jupiter i Pete.

Bob kiwnął głową, zamknął oczy i zaczął słuchać. Mieli rację. O wszystko można zapytać później. Teraz trzeba oddać się wspaniałej muzyce. Co za jakość nagrania!

Taśma się skończyła, a oni wciąż nic nie mówili.

- A więc do tego służy twój szpulowy magnetofon - przerwał ciszę Bob.

- Niesamowite, co? - Jupiter był bardzo zadowolony z siebie. - Wyobraźcie sobie, że całe urządzenie to wysokiej klasy...

- Jupiter, nie teraz - Pete wiedział, że jeśli od razu nie przerwie koledze, zostaną zmuszeni do wysłuchania dwudziestominutowego wykładu. - Potrzebne nam informacje. Bob, skąd masz te taśmy?

Bob opowiedział, jak znalazł je w pudle ze szkolnymi rupieciami.

- Kto je tam wsadził? - dopytywał się Pete.

- Sam chciałbym to wiedzieć. Zgadnijcie, kogo spotkałem dziś rano?

I Bob opowiedział o niebieskim dodge'u.

- Z tego, co słyszałem, wynika, że duży z blizną to Prem Manurasarda - zakończył historię Bob. - Ten mniejszy zwracał się do niego "Prem".

- Czy... - zaczął Jupiter.

- Czytam w twoich myślach - nie dał mu dokończyć Bob - ale tablica rejestracyjna była zachlapana grubą warstwą błota i całkowicie nieczytelna.

- To wbrew prawu stanu Kalifornia - powiedział Jupiter poważnym tonem.

- A czego się spodziewasz po ludziach, którzy handlują lewymi kasetami, kradną czyjeś pięć dolców i wdają się w ostre mordobicia? - rzucił Pete.

- Nie wiecie jeszcze o jednym - i Bob opowiedział o tym, jak został napadnięty.

- Dziwne - Jupiter wypchnął dolną wargę, intensywnie myśląc. - Wydaje się, że to seria nie powiązanych niczym wypadków.

- Nie całkiem - zaprotestował Pete. - To musi mieć coś wspólnego z awanturą na pchlim targu.

- Chwileczkę! - Bob zmarszczył brwi i przeczesywał palcami blond włosy.

Przypominał sobie coś, ale nie był całkiem pewien. Kiedy upadł i uderzył się w głowę... Wszystko dookoła niego pływało w powietrzu... Widział wtedy...

Jupe i Pete nie spuszczały z niego oka.

- Pamiętam... pamiętam tego mniejszego pirata. Unosił się nad moim pudłem. Wtedy myślałem, że chce je ukraść. A mógł włożyć coś do środka!

- Hmm - mruknął Jupiter, któremu okrągła twarz aż pojaśniała z zadowolenia. - Można pokusić się o pewną hipotezę. Załóżmy, że te dwie szpule łączą wszystkie wydarzenia. Czterej mężczyźni pobili się właśnie o nie. Widziałeś małego pirata obok swojego pudła, a z tego wynika, że para sprzedawców z pchlego targu miała szpule i taśmy najpierw. Tamci dwaj przyszli im je odebrać.

- A jak wytłumaczyć, że niebieska furgonetka jechała za mną dziś rano?

- Jakoś cię wysłedzili - powiedział Pete. - Może mówiłeś przy nich coś o Saxie. Albo o Łupsach.

- Może - zgodził się Bob. - Albo ja, albo ty.

- W porządku - Jupiter chodził wokół stołu. - Załóżmy, że mały schował taśmy. Może myślał, że pudło należy do ludzi z sąsiedniego stoiska. Potem wrócił i okazało się, że tam nikt nic nie wie. Wtedy przypomniał sobie o tobie. Leżałeś przecież niedaleko - pudła. Potem skojarzył, że rozmawialiście o Saxie i Łupsach. Wystarczyło sprawdzić w informacji adresowej - i już wiedzieli, gdzie jest agencja. Prawdopodobnie przyjechali rano, żeby sprawdzić biuro Saxa.

- I kto nakrył ich na gorącym uczynku? - zaśmiał się Pete. - Najszybszy cyklista w tym mieście - Superbob. Bob nie wydawał się rozśmieszony.

- Zobaczyli, że wchodzisz do środka - ciągnął Jupiter - i czekali. Potem wystarczyło już jechać za karawanem i znaleźć okazję, żeby przeszukać plecak.

- Bo plecak leżał na samym wierzchu szkolnych rupiec.

- Tak - Jupiter zadowolony usiadł i skrzyżował ręce na piersiach. - Wydarzenia wiążą się z nieodpartą logiką.

- Tak, to się trzyma kupy - zgodził się Bob.

- Co więcej - dodał Pete - Jupiter może nawet mieć rację.

- Ja mam rację - parsknął Jupe.

Obejrzeliby dokładnie taśmy.

- Co o nich wiemy? - zapytał Bob.

- Studyjna jakość nagrania - odpowiedział natychmiast Jupe. - Mój szpulowy magnetofon ma piętnaście ipsów. To określenie prędkości obrotów - wyjaśnił, widząc

ich zdziwione spojrzenie. - Piętnaście cali na sekundę. Zwykle, amatorskie magnetofony mają dwa razy mniejszą. Twoje taśmy są przystosowane do piętnastu ipsów.

- Jakie znaczenie ma szybkość obrotów? - zapytał Pete.

- Im szybciej taśma przechodzi obok głowicy nagrywającej, a potem - odtwarzającej, tym wierniejszy dźwięk. Dzieje się tak dlatego, że większa prędkość umożliwia lepsze nagranie dźwięków o wysokiej częstotliwości. I jeszcze jedno - profesjonalne taśmy są szersze od taśm używanych w kasetach. Mają jedną czwartą cala. W kasetach jest jedna ósma cala.

- No dobrze. Rozumiem, że to profesjonalne nagranie, ale dlaczego szła o nie taka wojna? - zastanawiał się Bob.

Chłopcy popatrzyli po sobie niepewnym wzrokiem.

- Jestem prawie pewien, że to grają Barbarzyńcy - odezwał się po chwili Bob.

- Który album?

- Nie wiem, nie rozpoznałem piosenek.

- Posłuchajmy, co jest na drugiej szpuli - Jupiter sięgnął po następne białe pudełko. - Wydaje się, że muzyki starczy na całą płytę.

- Mógłbym tego słuchać cały dzień - rozmarzył się Pete.

- Ciekawe. Czy to znaczy, że Kelly nie wymyśliła ci żadnych zajęć na dzisiaj? - droczył się z nim Jupiter.

- Pokazała się nowa kolekcja ciuchów i Kelly poszła z mamą na zakupy. Wróca dopiero późnym popołudniem. Kelly powiedziała, że do tego czasu mnie nie potrzebuje.

Jupe parsknął, a Bob roześmiał się głośno.

- Albo zacniemy słuchać, albo wykładam na stół kilka pysznych czekoladowych batoników. Mogę też opowiedzieć historię pewnego młodego człowieka, który przez roztargnienie umawia się z dwiema różnymi dziewczynami jednego wieczoru.

Jupe pospiesznie założył szpulę. Wysłuchali całego nagrania, a potem wrócili do poprzedniego. Przecież Bob musiał poznać całość!

- To na pewno Barbarzyńcy - powiedział w końcu. - Ale nie znam żadnej piosenki. Albo są bardzo stare, albo całkiem nowe.

- Też nigdy ich nie słyszałem - dodał Pete. - A ty, Jupe?

Jupiter pokręcił głową.

- Nic nie słyhać o Tayu? - przypomniał sobie Bob, patrząc na swojego garbusa.

- Ani słowa. Przykro mi.

Bob z westchnieniem ruszył w kierunku roweru, gdy nagle Pete zaproponował, że go podwiezie. Miał wyrzuty sumienia, że nie udało mu się naprawić volkswagena.

- To najlepsza propozycja, jaką dziś otrzymałem - uznał Bob. Wrzucili rower do bagażnika żółtego chevroleta, rocznik 1967, i pojechali do domu Boba.

- Ci Barbarzyńcy naprawdę są super, nie? - upewniał się Pete.

Tak jak Bob nie wiedział nic o samochodach, tak on w żadnym wypadku nie uważał się za eksperta od muzyki.

- Taaa. Są bardzo popularni, wszystkie ich albumy świetnie się sprzedają. Muzycynie są bez zarzutu.

Wjechali na podjazd przed domem Andrewsów.

- Wejdz. Zrobimy sobie coś do jedzenia. Umieram z głodu. Zjadłem dziś tylko jednego pączka.

Pete poczuł, że kiszki grają mu marsza.

- Świetny pomysł!

Wypchali sobie długie bułki wszystkim, co tylko znaleźli w lodówce. Bob wyjął karton soku. Usiedli przy stole ciesząc się z uczty, jaka ich czeka, gdy nagle nad ich głowami zaskrzypiały deski.

- Twój starzy są w domu? - zdziwił się Pete.

- Nie. W pracy - Bob otworzył szeroko usta, żeby ugryźć kanapkę. - To stary dom.

- Tak. W starych domach zawsze skrzypią podłogi.

Nagle Pete krzyknął głośno. Bob odwrócił się, żeby zobaczyć, o co mu chodzi, i zamarł. W oknie pojawiły się dwie wielkie stopy. Potem - całe nogi. Ktoś opuszczał się z piętra po linie.

Wypadli obaj na podwórko. Facet o blond włosach sterzających jak druty wylądował właśnie lekko na ziemi.

- To typ z pchlego targu - wykrzyknął Bob.

- Gdzie one są? - zapytał blondyn.

- Co? - nie zrozumiał Pete.

- Taśmy! - warknął tamten. - Oddawać je natychmiast!



## ROZDZIAŁ 7

### TAJEMNICZE ZNIKNIĘCIE

Jupiter wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w grube szpule taśmy, które leżały przed nim na stole. Intuicja podpowiadała mu, że jest o krok od rozwiązania ich tajemnicy, ale - jak dotąd przynajmniej - praktyka wskazywała na coś innego.

Raz po raz odtwarzał w głowie wszystkie zajścia z poprzednich dwóch dni: od wydarzeń na pchlim targu po atak na Boba.

“Faceci z niebieskiego dodge’a będą bardzo trudni do wytropienia” - stwierdził. Na targowisku podali fałszywy adres. W okolicach Rocky Beach można spodziewać się setek niebieskich ciężarówek tej marki. Bez numeru rejestracyjnego łatwiej znaleźć igłę w stogu siana!

Gdyby chociaż znać ich narodowość. Tak naprawdę określenie “Azjata” mogło oznaczać wszystkich od Wietnamu po Mongolię.

Jupiter wyduł wargi. Pozostawały taśmy. Jeśli miał rację, to one właśnie były kluczem do całej sprawy. Co o nich wiadomo? Po pierwsze - Bob uważał, że nagrał je zespół rockowy pod nazwą Barbarzyńcy. Po drugie - nigdy dotąd nie słyszał tych piosenek. Czy to naprawdę wszystko?

Jupiter uśmiechnął się i poszedł do przyczepy. Zanim usiadł przed komputerem, sprzątnął z widoku opakowania chrupek i innych przekąsek. Potem wywołał DataServe - informacyjną bazę danych, do której był podłączony za niewielką miesięczną opłatą.

Wystukał na klawiaturze hasło: “przemysł muzyczny”. Poczekał, aż na ekranie pokaże się żądany dział, i dopisał: “Barbarzyńcy”. Wkrótce na czarnym ekranie pojawiły się żółte litery: miał przed sobą nazwiska i daty urodzenia członków zespołu, instrumenty, na jakich grają, dane dotyczące menadżerów grupy, trasy koncertowe, tytuły płyt, nagrody... Wszystko, włącznie z nazwą wytwórni nagraniowej, z którą Barbarzyńcy byli związani.

Galactic Sounds, Inc. była wielką, znaną firmą z siedzibą w Los Angeles. Jupiter przepisał do notesu adres, numer telefonu i nazwisko prezesa zarządu, uśmiechnął się do siebie i podniósł słuchawkę.

Blondyn miał beczelny, zimny wyraz twarzy. Patrzył na nich wodnistoniebieskimi oczami, które wydawały się pozbawione rzęs. Nosił czarny dres i

rękawiczki. Rozstawił szeroko nogi, w każdej chwili gotowy do ataku.

- Dlaczego tak ci zależy na tych taśmach? - zapytał nagle Pete.

- A więc jednak je macie! - wrzasnął tamten.

- Kolega zadał czysto teoretyczne pytanie - Bob próbował ratować sytuację.

- Słuchaj, śliczny chłopaczku - blondyn złapał Boba za ramię i mocno ścisnął - nie próbuj robić sobie ze mnie jaj!

Pete wyprostował się, był gotowy do walki w obronie Boba.

- Łapy przy sobie - Bob wyswobodził się z uścisku.

“Szarpanina dwa razy dziennie to za dużo” - pomyślał i warknął wściekły:

- Oczu nie masz? Oddaliśmy je tym faciom z niebieskiego dodge'a.

- Już ci mówiłem, żebyś nie robił sobie... - zaczął blondyn i zrobił krok w kierunku Boba.

Nie zdążył dobrze się zamierzyć, kiedy Pete skoczył w przód i zadał mu prosty, silny cios w brzuch, zwany w karate tatezuki.

Facet pochylił się, poleciał w bok, a potem zaczął uciekać.

- Pete! - krzyknął Bob i obaj rzucili się w pogoń.

Przeskoczyli przez płot i sadzili długimi krokami w stronę czerwonego forda pinto, do którego zmierzał blondyn. Niestety. Zawarczał motor i w jednej chwili samochód ruszył. Zanim zniknął za rogiem, chłopcom udało się jedynie zauważyć trzy pierwsze litery na tablicy rejestracyjnej: YBH.

- Kurczę! - złościł się Pete. - Myślałem, że go dogonię! Z połową numeru rejestracyjnego możemy go szukać do śmierci.

- I tak by nam nic nie powiedział - uspokajał go Bob. - Na szczęście nie udało mu się niczego od nas wyciągnąć!

A jednak Pete wciąż pomrukiwał ze złości. Wracali powoli do domu, gdy nagle popatrzyli na siebie, tknięci tą samą myślą.

- Szybko na górę - Pete rzucił się do schodów, a Bob za nim.

- O nie! - rozległo się jęknięcie Boba, kiedy wpadli do jego pokoju.

Oniemiali patrzyli na zdemolowane wnętrza. Zerwane plakaty zwiisały w strzępach ze ścian. Zawartość wszystkich szuflad była wywalona na podłogę. Ubrania, papiery, pióra, ołówki, jakieś pamiątki - wszystko przemieszane, kłębiło się w każdym kącie. Blondyn musiał być wściekły.

Bob podniósł z ziemi tekturową teczkę z fragmentem “Cyklu życia muszki...”. Obok leżały inne rzeczy, które przyniósł ze szkoły.

- Wygląda na to, że dobrał się do mojego pudła - powiedział.

- Ale nie znalazł tego, czego szukał.

- Nie. Jupe miał rację - im wszystkim chodzi o taśmy.

- Jupe - powiedzieli równocześnie - musi natychmiast schować taśmy!

Pobiegli do holu zatelefonować. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka.

- Nie ma go? - nie dowierzał Pete.

Bob potrząsnął głową, odczekał chwilę i nagrał wiadomość:

- Jupe, tu Bob. Schowaj taśmy! Szuka ich pewien typ. - Zastanowił się i dodał: - Miej oczy otwarte na wszystko. Ten facet to twarda sztuka. Zaraz u ciebie będziemy.

- Gdzie on, do diabła, polazł? - zastanawiał się Pete, kiedy zbiegali po schodach.

- Przecież dopiero co tam byliśmy.

- Mnie się pytasz?

Wskoczyli do chevroleta.

- A co będzie, jeśli ten łotr porwał Jupitera? - denerwował się Pete i przycisnął pedał gazu.

- Dlaczego by miał to zrobić?

- A bo ja wiem? Może myślał, że Jupe za dużo wie, albo coś podobnego... Sam wiesz, że Jupe nie bardzo umie się bić, nawet po roku ćwiczeń dzudo.

Wjeżdżali już w bramę składu rupieci. Pete podjechał pod samą szopę.

- Jupe!

- Jupe, gdzie jesteś?

Przeszukali szopę i przyczepę.

- Nie ma go - powiedział Bob. - I taśmy też zniknęły.

## ROZDZIAŁ 8

### POWAŻNE OSTRZEŻENIE

- Pomyśl rozsądnie - przejęty Bob odwrócił się do Pete'a. - Przyjechaliśmy natychmiast. Ten drań nie miałby czasu, żeby wpaść tu, znaleźć taśmy, złapać Jupitera i odjechać.

- No więc kto to zrobił?

- Tamci dwaj ze stoiska z lewymi kasetami - odpowiedział Bob. - Mały i ten z blizną.

- To by było kiepsko. Naprawdę kiepsko.

- Musimy się rozejrzeć. Może ktoś tu jest.

Obaj zaczęli przeczesywać skład, ignorując zupełnie klientów, którzy grzebali w poszukiwaniu skarbów.

- Hej!

- Jest tu kto?

Wokoło piętrzyły się wysokie sterty kupy rupieci. Stare lalki bez głów, śrubokręty dla mańkutów, części do starych samochodów, deskorolki, księgi pamiątkowe wystaw światowych, klatki dla ptaków... Wszystko było świadectwem kolekcjonerskiej pasji wuja Tytusa. Według niego każda rzecz jest cenna, w każdym rupieciu tkwią nieograniczone możliwości, które trzeba jedynie odkryć.

Nagle usłyszeli śpiew. Dochodził zza wysokiej sterty gratów. Nareszcie!

- Ciociu Matyldo! - zawołali.

Matylda Jones podniosła głowę i uśmiechnęła się do nich promiennie. Była kobietą sporego wzrostu, o łagodnej twarzy, gołęmbim sercu i o niezwykłym wprost talencie postępowania z młodymi chłopakami. Teraz, kiedy ci młodzi chłopcy mieli już po siedemnaście lat, a Jupiter sam zrobił komputerową inwentaryzację gigantycznych zasobów składu, ciotka Matylda uznała, że może popuścić im cugli. W praktyce znaczyło to, że trzęsie teraz tylko wujem Tytusem, Kurtem i Hansem, którzy u nich pracowali, no i całym składem staroci Jon esów.

- Czy jest tu gdzieś Jupe? - Bob z całych sił starał się nie okazywać zdenerwowania.

Matylda podniosła żarówkę ze stosu zabrudzonych lamp i delikatnie ją odkurzyła.

- Tak. Wydaje mi się, że go widziałam - włożyła żarówkę do koszyka i wzięła

następną. - Czyżbyście znowu tropili jakiegoś ciemnego typu? Ach, te podejrzane zakamarki, w które was nosi! Nie możecie usiedzieć w jednym miejscu!

Pete uśmiechnął się. Ciotka Matylda była świadkiem wielu ich przygód.

- Czy wiadomo, dokąd poszedł Jupe?

- Nie bardzo. Zapytał tylko, czy może pożyczyć naszą furgonetkę, bo ma pilną przesyłkę do przekazania.

- Był sam?

- Całkowicie sam - ciotka Matylda spojrzała na Pete'a rozbawionym wzrokiem. - Ale zauważyłam w jego oczach szczególny błysk.

Obaj chłopcy odetchnęli z ulgą.

- Dzięki, ciociu.

- Cokolwiek wymyślił Jupe - powiedział Bob po powrocie do szopy - wiadomo, że to on ma taśmy.

- Cześć, chłopaki - dobiegł ich nagle czyjś wesoły głos. - Patrzcie, kto wrócił do miasta!

W drzwiach pojawiła się znajoma sylwetka Taya Casseya.

- Tay! - wykrzyknął Pete. - Świetnie, że wróciłeś!

- Nie masz nawet pojęcia, jak tu na ciebie czekamy - Bob wskazał palcem swojego starego volkswagena.

Tay, wiecznie zgarbiony chudzielec, zrzucił plecak i od razu podszedł do kanału.

- Wygląda na to, że mamy mały problem do rozwiązania - uśmiechnął się szeroko. - Czyżby twój niezawodny garbusik się zbuntował?

- Nie zapala - wyjaśnił Bob.

- Sprawdziłeś wszystko, mistrzu? - zapytał Tay Pete'a i nie czekając nawet na koniec szczegółowego sprawozdania, wsadził głowę pod maskę.

- Wszystkie zawory są na pewno w porządku - dokończył Pete.

- Hmm. Założę się, że to coś z gaźnikiem. Musi być zalany. Rzućcie mi śrubokręt i klucz nasadowy. Zaczynam małą operację.

Bob usiadł z boku, patrząc jak Pete wyszukuje narzędzia i wkłada je prosto w rękę Taya.

Pete czuł się jak idiota. Gaźnik! Oczywiście! Jak mógł wcześniej na to nie wpaść!

- Gaźnik - wyjaśniał tymczasem Bobowi Tay - to gość, który jest odpowiedzialny za wytworzenie mieszanki paliwa i powietrza w odpowiednich proporcjach. Zalewasz

gaźnik - nie ma mieszanki.

- I samochód nie zapala. - Bob wyglądał tak, jakby zrozumiał.

- Dokładnie tak.

Po chwili gaźnik został wyjęty. Tay zabrał się do czyszczenia.

- Człowiek nie powinien się zabierać do wyjmowania gaźnika - instruował ich dalej - jeśli nie wie, co robi. Bo na przykład to maleństwo musi być czyste - jeśli mówię czyste, mam na myśli sterylną czystość - zanim zaczniesz się w nim grzebać.

Kiedy tak powoli rozbierał gaźnik na części, przypominał chirurga podczas operacji.

- Tak wygląda iglica - dmuchnął w jakiś element. - Dokładnie tak, jak myślałem.

Gwizdże. Czyli jest przeciek. Tu cię boli, maleństwo!

- O rany! - Bob był pod wrażeniem. - Dzięki.

- Trzeba kupić nową - powiedział Pete.

- Nie wydaje mi się. Lepiej sprawdź w kącie po lewej - Tay machnął ręką. - Byłbym przysiągł, że widziałem tam jakieś części do garbusa.

- Ale z ciebie supermechanik, Tay - pokręcił głową Bob.

- Wiem - zgodził się Tay. - Jestem najlepszy. A wy, nad czym teraz pracujecie, chłopaki?

Bob wprowadził go w sprawę, opowiedział o tym, co wydarzyło się na pchlim targu i potem. Nagle przypomniał sobie o Łupsach. Co z nimi? Chyba w porządku, bo gdyby coś było nie tak, Celesta natychmiast by go odnalazła.

- Patrzcie. Mam cały gaźnik - Pete zbliżał się do nich biegiem. - Wygląda na dobry.

Tay obejrzał go dokładnie.

- Jasne - powiedział. - Pasuje. Dobra robota.

- Peeete! - zabrzmiał od wejścia melodyjny dziewczęcy głosik.

Na podwórzu wtoczył się stary, żółty kabriolet z trzema dziewczynami w środku.

- No, no - powiedział Pete.

- Niezła bryczka - przytaknął Tay.

- Patrzcie, to Kelly! - zawołał Bob.

Rzeczywiście. Kelly podniosła się z tylnego siedzenia i pomachała ręką. Wiatr rozwiewał jej ciemne włosy. Dwie dziewczyny siedzące z przodu też zrobiły powitalny gest.

- Przyjechałam po ciebie - Kelly wyskoczyła z samochodu. - Chłopcy, poznajcie Susi i Sandi. A to są: Bob, Tay i Pete, mój osobisty "dobiegacz".

- Cześć, dziewczyny - kiwnął głową Tay, po czym wrócił do znalezionej właśnie gaźnika.

- Jesteście z naszej szkoły? - zapytał Bob.

Dziewczyny natychmiast znalazły się przy nim. I one nie mogły oprzeć się magnetycznej sile uśmiechu Boba.

- Obie będziemy w waszej szkole - odpowiedziała Susi.

- Jesienią - dorzuciła Sandi.

- One są siostrami. Właśnie wprowadziły się do sąsiedniego domu - Kelly pospieszyła z wyjaśnieniami i natychmiast odciągnęła Pete'a na stronę. - Jedziemy zaraz - powiedziała.

Pete nawet nie próbował się opierać. Któż by zresztą oparł się uroczemu uśmiechowi Kelly?

- Dokąd?

- Najpierw do biblioteki. Muszę oddać książki - wyliczała Kelly na szczupłych i wypielegnowanych palcach. - Do pralni. Potem skoczmy na lody - i odwracając się do nowych koleżanek zawołała: - I tam się spotkamy. Pora na nas.

Pete i Kelly wsiedli do chevroleta, a dziewczyny z wyraźnym ociąganiem podeszły do żółtego kabrioleta. Pomachały Bobowi na do widzenia.

- Może innym razem! - krzyknął do nich i odwrócił się do Taya. - Pete'a mamy z głowy na resztę dnia.

Tay wyszczerzył się w odpowiedzi. Oba samochody zniknęły za bramą.

- Opowiadaj dalej o piratach nagrań - zażądał, rozkładając czystą szmatkę, na której ostrożnie umieścił nowy gaźnik, po czym zaczął rozkładać go na części.

Bob dokończył historię, opowiedział o teorii Jupitera i jego niespodziewanym zniknięciu z taśmami.

Tay uważnie słuchał, kiwając głową od czasu do czasu.

- Taaa - powiedział. - Według mnie, nie ma co się bać o Jupe'a. Wymknął się, żeby coś sprawdzić. Pojawi się wkrótce, zobaczysz.

Potem pstryknął palcami:

- Mam pomysł. Zostanę w mieście jakiś czas. Porozglądam się. Szepnę słówko tu i tam. Może uda mi się czegoś dowiedzieć o facetach, którzy wpuścili cię w te taśmy. Ktoś robi wielką forszę.

- Dzięki - spojrzał na niego Bob. - To może naprawdę coś dać.

- Ale ostrzegam cię - Tay miał teraz poważną minę. - W pirackim interesie nie ma miejsca na sentymenty. Gra się o prawdziwe pieniądze, a konkurencja jest wielka. Nikt tam nie lubi, kiedy jacyś amatorzy pchają nos w nie swoje sprawy.

Przerwał i popatrzył Bobowi w oczy:

- A więc uważaj, gdzie chodzisz, i rozglądaj się na boki.



## **ROZDZIAŁ 9**

### **GALAKTYCZNA ZBRODNIA**

- Skąd masz te taśmy, młody człowieku? - zapytał Jupitera Ernesto V. Lara, wyłączając supersprzęt odtwarzający. Ernesto V. Lara był prezesem Galactic Sound, Inc. Wściekłym wzrokiem patrzył zza okazałego biurka, stojącego w jego luksusowym biurze, i wymachiwał przy tym cuchnącym cygarem. Za jego plecami błyszczwały całe rzędy złotych i platynowych płyt, grawerowanych plaketek i fotosów z autografami. Wszystko to było świadectwem sukcesów jednego z gigantów branży płytowej.

- Wpadły przypadkiem w moje ręce - Jupiter rozparł się wygodnie na krześle.

Lara cisnął taśmy na biurko i usiadł w wielkim skórzanym fotelu. Był wysoki i chudy. Miał na sobie kosztowną sportową marynarkę i szare spodnie. Nie nosił krawata, a szyta na miarę koszula, rozpięta pod szyją, odsłaniała trzy złote łańcuchy.

- To taśma-matka do "Szalonej Kalifornii", nowego longplaya Barbarzyńców - mruknął, a potem wybuchnął: - Jestem bezczelnie okradany. Nieustannie! I nie mogę znaleźć sprawcy.

- Jeśli pan pozwoli - przerwał grzecznie Jupiter, wręczając Larze wizytówkę:

**TRZEJ DETEKTYWI**  
**Badamy wszystko**

**Jupiter Jones . . . . . założyciel**  
**Pete Crenshaw . . . . . współpracownik**  
**Bob Andrews . . . . . współpracownik**

Lara spojrział na wizytówkę, a potem na Jupitera.

- Płacę ciężkie tysiące dolarów dorosłym ludziom, żeby zajmowali się tropieniem tego przestępstwa. Jak dotąd, nie odkryli, kto nielegalnie kopiuje taśmy. A ty próbujesz mi wmówić, że dokona tego trójka nastolatków.

- Owszem. Co więcej, zapewniam pana, że nam się uda. A to z bardzo prostej przyczyny. Dorośli nigdy nie podejrzewają, że jesteśmy detektywami. Tymczasem my rozwiązaliśmy znakomitą większość spraw, których się podjęliśmy.

- Hmm - Lara wypuścił dym z cygara, przyglądając się z uwagą wizytówce.

Jupiter pilnował się, żeby nie zatkać nosa. Wyobrażał sobie czyste, górskie powietrze i wstrzymywał oddech.

- Z jakichś powodów nie chce pan wciągać w to policji - pokiwał głową. - W przeciwnym razie - już by tu byli.

- Inteligentna uwaga - zaskoczony Lara uniósł brwi. - Dopóki nie będzie to absolutnie niezbędne, wolałbym uniknąć policyjnego śledztwa. Jak dotąd, o kradzieży wiedzą tylko ludzie z ochrony. Nie mówiłem nic "kreatywnym". Ludzie twórczy są wrażliwi... nieprzewidywalni... Widzą policjantów, i ich wyobraźnia ulatnia się nie wiadomo gdzie. Ale jak tak dalej pójdzie - będę zmuszony. Nie mogę dalej tracić milionów!

- Pańscy współpracownicy nawet nas nie zauważą.

- Przyjmijmy więc, że was zatrudniam. Od kiedy zaczynacie?

- Od zaraz. Chciałbym zadać kilka pytań. Na przykład - od kiedy giną taśmy?

- Od dwóch lat - prezes przymknął oczy, wypuścił następny kłęb dymu i spojrział na Jupitera. - Wszystko zaczęło się, kiedy mój syn przyniósł do domu kasetę jednej z naszych grup. Była bardzo wysokiej jakości, więc myślałem, że to my ją wyprodukowaliśmy. Okładka wydała mi się jednak trochę inna. Można mówić o przecuciu. Po sprawdzeniu okazało się, że miałem rację. Kasetę zrobił ktoś inny.

- Używając taśmy-matki?

- Na pewno. Przy takiej jakości nagrania!

- Co to dokładnie jest "taśma-matka"?

- Zaczynamy od taśm dwudziestoczterościeżkowych, zwykle szerokości dwóch cali. Szpule mają dziesięć cali średnicy - tak jak te, które znalazłeś. Wszelkich elektronicznych przeróbek dokonujemy na szerokich taśmach, potem przegrywamy je na to - Lara poklepał ćwierćcalowe taśmy, które przyniósł Jupiter.

- Czyli na wąskich szpulach robi się kopie z szerokich taśm.

- Tak. I z nich dopiero nagrywa się płyty i kasety, które kupujesz w sklepach. Ponieważ po pewnym czasie taśmy-matki zużywają się, przygotowujemy na ogół dziesięć zestawów.

- Czy ćwierćcalowe taśmy do "Szalonej Kalifornii" są już gotowe?

- O to właśnie chodzi, że nie - zacisnął pięści Lara. - Ktoś musiał skopiować je z taśmy dwudziestoczterościeżkowej. Ktoś, kto pracuje w Galactic Sound! I to jest najgorsze. Wewnętrzna robota.

Wtem zadzwieczał dzwonek interkomu.

- John Henry Butler do pana - odezwał się młody męski głos.

- Chwileczkę - Lara odwrócił się do Jupitera. - Muszę go przyjąć. Jest nie do

wytrzymania, ale jego głos znaczy wiele. Chcę, żeby napisał o “Szalonej Kalifornii”.

- To wspaniała płyta!

- Jestem pewien, że sprzedamy milion egzemplarzy. Platynowa płyta gwarantowana! - Lara wstał i zgasił cygaro w popielniczce w kształcie gitary. - Daję wam trzem szansę. Bądźcie tu jutro o dziewiątej rano.

- Będziemy.

Podali sobie ręce. Lara wyjął wizytówkę i napisał coś na odwrocie.

- To mój domowy numer. Jest zastrzeżony. Dzwoń, kiedy trzeba.

- Dziękuję - Jupiter schował wizytówkę do kieszeni.

- Jutro powiem ludziom, że przyszliście do pracy na czas wakacji. Przedstawię was jako przyjaciół rodziny. Nigdy nie zawadzi być znajomym szefa. Wszyscy będą wam pomagać - parsknął śmiechem i otworzył drzwi. - A poza tym, większość naszych klientów to nastolatki, jak wy. Być może wykorzystamy was przy badaniach rynku. I okaże się jeszcze, że dając wam pracę podjąłem pierwszorzędą decyzję!

Razem wyszli do recepcji. Sekretarzem Lary był młody człowiek, także ze złotymi łańcuszkami na szyi. Słuchał właśnie przemowy niskiego, brzuchatego mężczyzny, który gestykulował, jakby chciał zaprezentować całemu światu złote pierścienie z diamentami wielkości fasoli na obu rękach. Grubas miał na sobie kosztowny jedwabny garnitur. Zapach drogich pachnidła otaczał go niczym obłok.

- Nic z tego, ty impertynencie. Od ciebie na pewno nie wezmę... - usłyszeli wysoki nosowy głos.

Lara zrobił się wściekły, słysząc jak Butler odnosi się do jego sekretarza. W tej chwili Butler odwrócił głowę i zauważył go. Natychmiast zmienił wyraz twarzy. Z uosobienia arogancji stał się uosobieniem grzeczności.

- Ach, Ernesto - podszedł z wyciągniętą ręką. - Cóż to za wielka przyjemność. Jakie skarby z jesiennej edycji trzymasz dla mnie?

Jupiter obserwował, jak Lara zmusza się do uśmiechu, podając rękę temu lizusowi.

- Proszę, John, wejdź. Mamy zupełnie nowy album Barbarzyńców. Świetny. Platynowa płyta murowana. Zaraz usłyszysz. Weszli do gabinetu.

- Co za obmierzły typ - skrzywił się sekretarz. - Szkoda, że pan Lara musi zadawać się z kimś takim.

Wprawdzie Jupiter powiedział tylko “do widzenia”, ale myślał dokładnie to samo.

- Dlaczego Jupe jest taki tajemniczy? - dziwił się Bob, wsiadając późnym wieczorem do samochodu Pete'a, z którym jechał do składu staroci. Garbus Boba nie był jeszcze gotowy, ale Tay robił, co w jego mocy.

- I dlaczego chce się spotkać tak późno? - Pete zapalił silnik i włączył światła.

- Chyba żartujesz! Przecież jest dopiero dziewiąta.

Pete nie odpowiedział.

- Kelly miała jakieś plany wobec ciebie? - zorientował się szybko Bob.

Pete patrzył na drogę.

- Chłopie - powiedział Bob żartobliwie. - Coś źle to urządziłeś. Im więcej luzu dla siebie wywalczysz, tym bardziej Kelly będzie na tobie zależała. Sama będzie za tobą biegać...

- Bob - przerwał mu Pete - nie chcę, żeby za mną biegała. Po prostu czasami wolę być z nią niż z tobą i Jupe'em. Wiesz dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

- Bo jest od was dużo ładniejsza!

- Chyba cię rozumiem - zaśmiał się Bob.

Właśnie wjeżdżali do składu wuja Tytusa.

- Gdzie się podziewałeś, Jupe? My się tu zamartwialiśmy. Naprawdę myśleliśmy, że ten blondyn cię porwał. I dlaczego nie chciałeś nic powiedzieć przez telefon? - wołał Bob, wyskakując z samochodu.

Jupiter z chytrym wyrazem twarzy czekał na nich w drzwiach szopy.

- Nie chciało mi się powtarzać całej historii dwa razy - odpowiedział. - Strata czasu. Teraz jesteście tu obaj, więc raz wystarczy. Potem trzeba zastanowić się nad wszystkim.

- Dobra - niecierpliwił się Pete. - Byle szybko. Od tego zależy moje życie.

Jupe błyskawicznie opisał spotkanie w Galactic Sound i nowe zlecenie dla agencji Trzej Detektywi.

- Psiakrew! Naprawdę chciałbym z wami pójść, ale nie mogę. Sax wyjechał z miasta i obiecałem, że razem z Celestą posiedzę jutro w biurze.

- A ty, Pete? - westchnął zrezygnowany Jupe. - Czy ci się uda wymigać od tego, co przygotowała dla ciebie Kelly?

- Sam nie wiem. Planowaliśmy z Kelly wyskoczyć jutro do Las Vegas, do jednego z tych miejsc, gdzie dają szybkie śluby. Jupiterowi zrzęda mina.

- Kupiłeś to! - zarechotał zadowolony Pete. - Chłopie, szkoda że nie widziałeś swojej miny! Oczywiście, że będę tutaj, głupku. Skoro świt, jeśli chcesz. Takiej okazji nie oddałbym nawet za kilka wypraw do miasta z Kelly.

Rozstali się w świetnych humorach.

Kiedy Pete wyjechał na ulicę, zauważył w lusterku zapalające się światła jakiegoś samochodu, który ruszył w tej samej chwili, co on.

Właściwie nie było w tym nic dziwnego, ale gdy kolejny, trzeci samochód ruszył i przyłączył się do kawalkady, Pete zaczął się zastanawiać. Kiedy zaś celowo objechał wkoło dwie przecznice, a auta wciąż siedziały mu na ogonie, poczuł, że to nie żarty.

- Chyba mamy kłopoty - powiedział.

## ROZDZIAŁ 10

### CIEŻKA NOC I CIEŻKI DZIEŃ

Kiedy Pete brał zakręt za zakrętem, samochody przyspieszyły, żeby go nie zgubić.

- Kto to? - zapytał Boba. - Może uda ci się coś zobaczyć?

Przechylony przez oparcie fotela Bob wpatrywał się w tylną szybę. Jak na kilka dni, miał dosyć! Nie znani nikomu brutalni faceci pojawiali się ostatnio zbyt często w jego okolicy - zaczęło się na pchlim targu, potem był atak w uliczce, zdarzenie w jego własnym domu, a teraz to tutaj.

- Są dwa niewielkie samochody. Powiem ci coś więcej po najbliższym skręcie.

Pete szybko zakręcił.

- Pierwszy jedzie biały datsun B210, za nim honda civic - relacjonował Bob. - Nie jestem pewien, jakiego jest koloru, chyba żółta. Oba auta wyglądają na stare. Nie widzę numerów rejestracyjnych. Co robimy?

- Nie mam pojęcia - Pete był zdenerwowany.

Z piskiem wziął następny zakręt. Nagle twarz mu pojaśniała.

- O rany! Ale będzie zabawa.

- Co?! - Bob myślał, że się przesłyszał.

- Mam pomysł, jak zgubić tych palantów. Dobrze, że nie ma ruchu. Będzie jak w kinie. Trzymaj się mocno!

Bob spojrzał przed siebie. Właśnie zbliżali się do ronda, od którego w cztery strony rozchodziły się ulice. Pośrodku znajdował się niewielki trawnik z masztem na flagę.

- Zaczynamy! - krzyknął Pete i zaczął okrążyć rondo.

Jechał coraz szybciej, a podrasowany silnik jego chevroleta warczał jak wielki afrykański kot.

- Chcesz ich zdublować? - Bob nie był pewien, czy zrozumiał zamysł kolegi.

Wkrótce byli o pół okrążenia z przodu. Zaraz potem o trzy czwarte. Jeszcze chwila i dogonili oba samochody. Wtedy kierowca datsuna obejrzał się i z całych sił nacisnął hamulec. Honda natychmiast zrobiła to samo. Za późno! Rozległ się zgrzyt metalu: to honda uderzyła w tylny zderzak datsuna.

Pete błyskawicznie odbił w prawo, mijając o włos stojące teraz pojazdy, i jak rakietę wystrzelił do przodu. Bob zaczął oddychać normalnie. Odwrócił się, żeby

sprawdzić, co dzieje się z tyłu, i omal nie krzyknął - datsun ruszał w pogoń za nimi. Nagle honda zaczęła go wyprzedzać, "I co teraz?" - zastanawiał się w duchu Pete.

- O kurczę! Patrz! - wrzasnął nagle. - Chyba mamy ich z głowy!

Honda uderzyła w bok datsuna. Nie było wątpliwości, że kierowca zrobił to specjalnie. Snop iskier poleciał w górę jak fajerwerki w noc sylwestrową. Oba samochody jechały teraz równolegle do siebie, okrążając rondo z coraz większą szybkością. W pewnym momencie datsun przyłożył w bok hondzie. Ponownie rozległ się zgrzyt.

- Ale numer! - Bob patrzył szeroko otwartymi oczami na wyścig. - Chyba postanowili sprawdzić, kto kogo wcześniej załatwi!

- Rany, to się nie mieści w pale!

- Dowalają sobie, jakby nas tu nie było!

- Lepiej wiejmy, zanim sobie o nas przypomną - Pete skręcił w pierwszą boczną ulicę.

Z tyłu usłyszeli huk zgniatanej blachy. I natychmiast potem - odgłos czterech strzałów.

- Słyszałeś! - krzyknął Bob. - Ci faceci są naprawdę groźni!

- Oni są psychiczni! Najpierw gonili nas, potem zajęli się sobą. Niech mi ktoś wytłumaczy dlaczego?

- Słuchaj - powiedział Bob ponuro - oni mogli mieć broń na nas! Trzeba wracać i ostrzec Jupitera.

- Tak - zgodził się Pete. - Najgorsze jest to, że oni wiedzą, gdzie mieszkanie!

Następnego dnia był piątek. Bob pojechał do pracy swoim volkswagenem, którego zastał na podjeździe, kiedy wrócił do domu po nocnych pościgach i ucieczkach. Teraz jego antyczny garbusik spisywał się jak nowy. Tay odwalił kawał świetnej roboty.

W biurze Saxa Bob wykonywał swoje rutynowe prace, nie poświęcając im wiele uwagi. Całe przedpołudnie odtwarzał w głowie wszystkie szczegóły wczorajszej nocy. Zastanawiało go, czy ci faceci są dalej przekonani, że to on ma taśmy. Po namyśle zdecydował, że nie może być inaczej.

Należało zastosować się do rady Taya i rozglądać się uważnie na boki.

W sekretariacie Celesta odbierała telefony, przesłuchiwała kasety i przygotowywała materiały dla prasy. Bob ustalał grafik występów dla grup, którymi

zajmowała się agencja.

Była dokładnie jedenasta trzydzieści, kiedy do biura wpadła Maxi, ubrana cała na szaro. Miała na sobie szare buty, szare spodnie i popielatą męską koszulę. Nawet jej czarne włosy przewiązane były srebrzystym szalem. Co gorsza-ten kolor odpowiadał jej nastrojowi.

Maxi miała zmartwiony wyraz twarzy i ciemne sińce pod oczami. Rozmazany tusz wskazywał, że idąc tutaj płakała.

- Muszę z tobą porozmawiać - chlipnęła i unikając wzroku Celesty, przemknęła do pokoju Saxa.

Nie chciała nic mówić przy Celeście. Musiała to być bardzo osobista sprawa. Bob delikatnie zamknął drzwi. Maxi wyciągnęła chusteczkę w szarą kratę i wytarła nos.

- On zniknął - szepnęła.

- Kto?

- Marsh! Kto inny? Od środowego występu nikt go nie widział - zdesperowana Maxi oparła głowę na piersi Boba. - Bob! Musisz coś zrobić. Musisz go znaleźć!

Bob poklepał ją uspokajając po ramieniu, gorączkowo myśląc, co teraz zrobić. Maxi odsunęła się o krok i z nadzieją patrzyła mu w oczy.

- Próbowełaś dzwonić do kogoś z jego rodziny?

- Oni...oni... nie odzywają się do mnie - wyjąkała Maxi i opuściła wzrok.

- Aha.

Bob usiadł w fotelu Saxa, za jego biurkiem, i sięgnął po jego notes. Co za fotel! Świetnie się w nim siedziało! Znalazł telefon Marsha i wykręcił numer. Odczekał co najmniej dwadzieścia sygnałów. Nic. Żadnej odpowiedzi.

Postanowił zadzwonić do jego rodziców.

- Halo? - odezwał się po chwili podejrzliwy kobiecy głos.

- Dzień dobry, czy to pani Lainson? Mówi Bob Andrews z agencji Rock-Plus. Czy mógłbym rozmawiać z Marshem?

- Marsh ma własne mieszkanie.

- Już tam telefonowałem. Nikt nie odpowiada.

- Może jest u brata - i kobieta odwiesiła słuchawkę.

Bob znalazł numer Franka Lainsona w książce telefonicznej.

- Halo? - na szczęście ktoś był w domu.

- Frank? To ty? Tu Bob Andrews z Rock-Plus. Mogę porozmawiać z Marshem?



- Pewnie. Jeśli pójdziesz do Szpitala Centralnego.

- Do szpitala? - krzyknął Bob.

Maxi osunęła się na krzesło.

- Jest tam od wczoraj.

- Co się stało?

- Lepiej sam go spytaj - odpowiedział Frank.

Oślupiały Bob z trudem wyjąkał do telefonu słowa pożegnania. Patrzyli na siebie z Maxi przerażonym wzrokiem.

- Jedziemy! - powiedział w końcu.

- Wiedziałam - zatkała Maxi. - Wiedziałam, że stało się coś strasznego.

Dopiero następnego dnia rano Pete opowiedział Jupiterowi o nocnych wydarzeniach na rondzie. Jechali do pracy do Galactic Sound.

- Hmm - zamyślił się Jupe. - Wszystko wskazuje na to, że znaleźliśmy się w środku wojny gangów.

- Wojna gangów?! - oniemiał na chwilę Pete. - Ale żaden z tych facetów nie chodzi w skórze, nie nosi kastetów ani nic z tych rzeczy.

- Nie mówię o gangach ulicznych! Mam na myśli gangi piratów płytowych.

- To ma sens - odpowiedział Pete po chwili namysłu. - I co z tym zrobimy?

- To, co zawsze. Musimy ich wyśledzić.

- Trzeba dobrze zacierać ślady, bo podziurawią nas jak sita. Nie mam na to najmniejszej ochoty - mruknął Pete.

- Racja. Nikt w Galactic nie ma prawa domyślić się, kim jesteśmy. Tam każdy może być związany z piratami.

Dojeżdżali właśnie do siedziby firmy - imponującego siedmiopiętrowego budynku ze szkła i stali. Wielka złota płyta wieńcząca dach musiała być widoczna z odległości wielu kilometrów.

Oczekiwał ich Johnny MacTavish, prawdziwy goniec Ernesta Lary. Johnny był zabawnym blondynem z mnóstwem piegów i wielkimi, kościstymi dłońmi. Miał oprowadzić ich po całej wytwórni. Zaczęli od biur. Obejrzeliby dział sprzedaży i dystrybucji, marketingu, reklamy... Zapamiętali głównie grube dywany na korytarzach i ubranych według najnowszej mody ludzi, którzy zaferowani biegali tu i tam.

- Pracuje u nas ponad trzysta osób - wyjaśnił Johnny.

Zjechali właśnie do podziemi, gdzie sortowano pocztę. Na stole piętrzyły się

stosy kopert. Obok nich stała wielka torba na listy.

- Do tego pokoju dociera cała poczta - ciągnął Johnny. - I ta z zewnątrz, i wewnętrzna. Listy od fanów też. Popatrzcie, ta góra jest do Jake'a Bultona z Odrażających Odgłosów Śmierci. Tamta - do Oddziału Wściekłych Kotów. Przekazujemy im wszystko.

- Zawsze się zastanawiałem, dokąd trafiają listy od fanów - zaśmiał się Pete.

- Ten pokój to twoja kwatera główna, Pete - powiedział Johnny. - Nieźle się nabiegasz, bracie. Wiem, co mówię. Będziesz musiał biegać naprawdę szybko.

- Pete to lubi - uspokoił Johnny'ego Jupiter, nie zważając na osłupiałą minę Pete'a. - A co masz dla mnie?

- Pan Lara postanowił, że będziesz pracował na górze, z technikami.

- Ja tu sobie będę zdzierał podeszwy i roznosił pocztę - mruknął Pete, kiedy Johnny odszedł powiedzieć kolegom dzień dobry - a ty będziesz siedział na górze z gwiazdami.

- Los tak chciał - odszepnął Jupe.

Następnym punktem programu była wizyta w głównym foyer, które mieściło się na drugim piętrze.

- No, no - gwizdnął Pete na widok marmurów, kryształowych lusterek od ściany do ściany, okuć z wypolerowanego na błysk brązu i wielkich palm zdobiących wnętrze.

- Tu przyjmujemy artystów, którzy przychodzą na nagrania - wyjaśnił Johnny.

- Bardzo... imponujące otoczenie - Jupiter był pod wrażeniem.

- Rozumiem, co masz na myśli - roześmiał się Johnny i poprowadził ich korytarzem, którego ściany obwieszane były fotosami artystów, własnoręcznie przez nich podpisanymi.

Z boku ciągnął się rząd oszklonych pokoi oraz zwykłych, biurowych drzwi do jakichś pomieszczeń.

- Tam pracują inżynierowie dźwięku i technicy od nagrań - Johnny pospieszył z wyjaśnieniami. - Zasadą Galactic jest, że wszystko robi się na miejscu - nagrania, montaż i kopiowanie.

- O rany! Przecież to "Autostrada do Los Angeles"! Ależ ci faceci umieją grać! - Pete stanął przed szklaną ścianą.

Po drugiej stronie szyby trzech muzyków ubrani w skórę od stóp do głów wykrzykiwali coś do mikrofonów, podrygując rytmicznie.

- Nic nie słyhać! - powiedział Pete zaskoczony.

- Studia nagraniowe są dźwiękoszczelne - nie wytrzymał Jupe, a Johnny tylko skinął głową.

Przez chwilę przyglądali się nagraniu.

- Słyszałem, że Barbarzyńcy wydadzą lada moment jakiś superalbum - Jupe starał się, żeby ta uwaga brzmiała naturalnie.

- Dobrze słyszałeś. Mank Rivers pracuje właśnie nad tym jak szalony - i Johnny wprowadził ich do niewielkiego pokoju, przylegającego do następnego, pustego teraz studia.

Pete obejrzał się nerwowo, kiedy drzwi zamknęły się za nimi z cichym kliknięciem. Wewnątrz, na półokrągłym stole i ograniczającej go pionowej ścianie, znajdowało się mnóstwo przycisków, wyłączników i guzików, które świeciły różnymi kolorami.

- To jest Hank Rivers, jeden z naszych głównych dźwiękowców - Johnny przedstawił ich uśmiechniętemu, łysemu mężczyźnie o nadzwyczajnie białych zębach.

Hank uściśnił im dłonie i wskazał szybkim ruchem konsolę.

- Rzućcie na to okiem. Ten mikser to absolutne dzieło sztuki. Najdroższy element wyposażenia studia, wart ćwierć miliona dolarów. Można na nim zrobić wszystko, nawet czterdziestoośmiościeżkowe nagranie. Da się dołożyć perkusję, gitarę, wokale - co tylko chcecie, żeby wzbogacić płytę.

Potem dotknął czterech szpul, które wyglądały dokładnie tak, jak opisał je Lara - dziesięć cali średnicy, z taśmą szerokości dwóch cali.

- Nasz najnowszy hit: "Szalona Kalifornia". Te cztery taśmy są podstawą wszystkiego.

- Wszystkiego? - ni to powtórzył, ni to zapytał Jupiter.

- Jasne. Z nich robimy kopie - Rivers poklepał stos białych pudełek, dokładnie takich, jakie piraci podrzucili do kartonu Boba.

Jupiter i Pete wymienili szybkie, porozumiewawcze spojrzenia.

- W pudełkach jest ćwierćcalowa taśma, która służy do pierwszego kopiowania, czyli do robienia taśmy-matki. Na jednej takiej "matce" mieści się materiał z dwóch dwudziestocząterścieżkowych taśm. Każda ćwierćcalowa szpula to jedna strona longplaya, a dwie szpule to cała płyta lub jedna kasetka. Dzieje się tak dlatego, że taśma-matka obraca się z szybkością piętnastu ipsów, a zwykle kasety i płyty są wolniejsze.

- Siedem i pół ipsa - pochwalił się swoją wiedzą Jupiter. - Im wolniejsze obroty,

tym więcej można wcisnąć na taśmę.

- Właśnie tak!

- A czy na tych taśmach już coś jest? - Jupiter wskazał białe pudełko w rogu stołu.

- Nie. Zawsze trzymamy w studiu kilka zapasowych, żeby ciągle nie biegać. Czyste ampexy są na drugim końcu korytarza - wyjaśnił Mank.

- Pewnie ma pan dokładny rejestr wszystkich gotowych "matek", prawda? - drążył Jupiter.

- Jasne! - Rivers podniósł notatnik. - Wiemy tu o każdej kopii.

- Czy nie zdarzają się kradzieże? - Jupiter przybrał naiwny wyraz twarzy, ale cały zamienił się w słuch.

- Skądże! I zrobimy wszystko, żeby tak zostało!

Pete zmarszczył brwi. Albo Mank nie wiedział o wyniesionych taśmach, albo kłamał z premedytacją.

Po wizji lokalnej budynku obaj chłopcy zaczęli pracę. Pete biegał po piętrach, roznosząc pocztę. Około południa miał wrażenie, że przebiegł już co najmniej trasę maratonu. Albo i więcej. Jeszcze wczoraj był pewien, że uda mu się zaimponować Kelly opowieściami o ich ulubionych zespołach rockowych, które miał nadzieję spotkać, a tymczasem nie zauważył nawet jednej sławnej osoby!

Jupiter odbierał telefony, załatwiał drobne zlecenia i robił kawę, z całych sił starając się nie zauważać słodkich bułeczek, które leżały na tacy. Nie było to łatwe, zwłaszcza że nie mógł nawet czerpać pociechy ze swojej wiedzy technicznej, która nie interesowała tutaj nikogo.

Niczego nie udało im się odkryć. Kiedy nadeszła przerwa na lunch, obaj byli głodni i trochę zniechęceni. Praca w Galactic nie była ani trochę ciekawsza od innych zarobkowych zajęć, które podejmowali podczas wakacji.

Jupiter zjadł swoją południową porcję chleba z masłem w studiu razem z Hankiem. Był szczęśliwy, gdyż zreformował nieco swój program odżywiania, zwiększając ilość chleba do pół bochenka. Uznał bowiem, że im więcej chleba z masłem zje, tym szybciej dieta zacznie działać.

Pete uciekł z ciemnych podziemi i jadł lunch na dworze razem z Johnnym i kilkoma nowymi kolegami. Zadowolony słuchał opowieści i plotek o znanych muzykach, którzy przewinęli się przez studia Galactic. Przynajmniej będzie miał co opowiadać Kelly!

Zabierał się właśnie za smakowitą kanapkę z szynką, kiedy na parking wjechał czerwony ford pinto. Czerwone pinto! Przecież takim samochodem uciekł blondyn, który włamał się do domu Boba!

Skoczył na równe nogi. Nie pomyślał, co o takim zachowaniu powiedzą koledzy.

- Pete, co się stało? - zapytał Johnny.

I właśnie wtedy kierowca forda wyjrzał przez okno. To był facet, który włamał się do domu Boba!

Zauważył Pete'a i w tej samej chwili dodał gazu. Czerwony ford w jednej chwili dotarł do bramy parkingu. Nie było wątpliwości. Blondyn uciekał!

## ROZDZIAŁ 11

### TERAPIA WSTRZĄSOWA

Pete ruszył co sił w nogach za uciekającym samochodem.

- Pete! - wrzasnął Johnny. - Co się stało?

Ale Pete nie miał czasu na odpowiedź. I nie miał czasu zauważyć, że biegnie wprost na robotnika taszcącego przed sobą wysoki stos metalowych pudeł po taśmach.

- Uważaj! - krzyknął Johnny.

Ale było za późno. Rozległ się ogłuszający hałas. W powietrze poleciały puszki. Pete i robotnik leżeli rozplaszczeni na asfalcie. Publiczność zataczała się ze śmiechu i gwizdała z uciechy.

Pete podniósł głowę i jęknął. Bolała go każda kość. Co gorsza - zraniona była jego ambicja. A dla ratowania reputacji nie mógł nawet wyjaśnić prawdziwego powodu swojej obecności w Galactic! I co najgorsze - czerwone pinto zniknęło.

- Nic sobie nie zrobiłeś? - Johnny klęknął przy nim.

- Nie - westchnął Pete. - Tylko trochę mnie zaćmiło.

- Chyba powinieneś pracować w cyrku - zachichotał Johnny. - Byłbyś świetnym kłownem.

- Ciekawe, co powiedziałyby moja dziewczyna, widząc mnie w szerokich spodniach i z twarzą pomalowaną na białą? - Pete wstając dołączył się do ogólnej wesołości.

Zaraz obaj z Johnnym pozbierali puszki i pomogli podnieść się wciąż zamroczonemu robotnikowi. Ułożyli mu na rękach cały ładunek i pchnęli w stronę czekającej ciężarówki. Potem dołączyli do kolegów, żeby skończyć lunch.

- O co tu chodziło? - dopytywał się Johnny.

- O nic. Zobaczyłem faceta, który jest mi winien forszę.

- W takim razie przypominaj mi zawsze, żebym oddawał ci długi na czas - zażartował Johnny.

Zaśmiali się znowu, ale Pete wiedział, że popełnił błąd. Miał ochotę dać sobie kopa. Przyznając, że zna kierowcę czerwonego forda, stracił szansę spytania innych, czy czegoś o nim nie wiedzą. Nie dowie się, czy facet był pracownikiem Galactic.

Jadąc z Maxi do Szpitala Centralnego w Rocky Beach, Bob przez cały czas

zerkał we wsteczne lusterko. Czasami wydawało mu się, że widzi z tyłu wgniecionego białego datsuna B210. Ale - uspokajał się - w okolicach Los Angeles jeżdżą setki białych datsunów B210. Nie ma co się denerwować. No, chyba że w środku siedzi uzbrojony typ, który zamierza złapać właśnie jego, Boba.

- Dlaczego ciągle sprawdzasz tyły? - nie wytrzymała w końcu Maxi.

- Rura wydechowa - wymyślił na poczekaniu wymówkę. - Od pewnego czasu mam z nią kłopoty.

Na szczęście byli już pod szpitalem. Znalazł miejsce na parkingu i Maxi natychmiast wyskoczyła z samochodu. Bob szedł powoli i kilka razy obejrzał się za siebie. Biały datsun B210 właśnie przejechał.

- Czy to ten? Niemożliwe - powiedział stanowczo do siebie i wszedł do holu.

- Dziękuję - usłyszał głos Maxi, stojącej obok recepcji. - Jest w pokoju 6144. Chodźmy - przynagliła go, kiedy pokazał się w drzwiach, i pobiegła do windy.

- Na szczęście nie jest na oddziale psychiatrycznym - powiedziała, przyciskając guzik z cyfrą 6.

- Naprawdę myślałaś, że tam będzie?

- Nie. Ale ja na pewno tam wyląduję, jeśli Marsh dalej będzie się zachowywał w ten sposób.

Otworzyli drzwi do pokoju 6144. Marsh siedział na łóżku i jadł lody - wielką porcję waniliowych lodów z bitą śmietaną i siekanymi orzeszkami ziemnymi. Kiedy ich zobaczył, odstawił szybko lody na tacę i opadł bezsilnie na poduszki. Westchnął ciężko i wbił w nich ponure spojrzenie.

Maxi prychnęła pogardliwie - Marsh wcale nie wyglądał na chorego.

- Jak się masz, Marsh? - zaczął Bob.

- Któż to może wiedzieć? Lekarze nie mówią zbyt wiele. Nie umiem ci odpowiedzieć - Marsh potrząsnął głową i wpatrywał się w swoje dłonie.

Paznokcie prawej ręki były dłuższe. Tą ręką szarpał struny swojej gitary.

- Piszę właśnie piosenkę o przypadkowym wydarzeniu. To wydarzenie nazywa się "życie", jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Bob spojrział na Maxi. Wzruszyła ramionami. Nie obchodziło ją nic a nic, czy rozumie Marsha, czy nie.

Bob zaczął się niepokoić. Jeśli Marsh postanowił coś im udowodnić i w ramach tej gry położył się do szpitala, to wybrał najgorszy moment! Finał konkursu Jimmy'ego Cokkera jest już jutro wieczorem.

- Jeśli nic ci nie jest - zaczął delikatnie Bob - to dlaczego jesteś tutaj?

Marsh nucił coś pod nosem, uderzając długimi palcami o szpitalne prześcieradło.

- Daj spokój, Marsh - wybuchnęła Maxi. - I racz się zniżyć do naszego poziomu, dobrze?

- Widzicie... miałem wszystkie objawy... Dlatego lekarze zdecydowali się umieścić mnie w szpitalu. Chodzi o - jak się wyrazili - kompletne przepracowanie. Miałem stałe migreny, skurcze żołądka, cierpły mi palce... - Marsh podniósł ręce i pokazał je światu.

Maxi przyglądała się Marshowi z uwagą. Patrzyła długo i w końcu pokiwała powoli głową. Zrozumiała wszystko.

- Rzuciła cię. Carmen Valencia go rzuciła - powiedziała do Boba, a potem, odwracając się do Marsha, dodała: - I co ona ma zamiar teraz robić? Kupić sobie granatowy kostium i zająć się zwyczajną pracą? Mam nadzieję, że da nam wszystkim spokój i porzuci na zawsze przemysł rozrywkowy. Marsh! Spójrz na mnie! Ona nie ma za grosz talentu. Nie dorasta ci do pięt!

Bob gorączkowo myślał, jak się teraz zachować. Sax zabije go, jeśli czołowy gitarzysta Łupsów nie pojawi się jutro na konkursie Cokkera! Trzeba Marsha natychmiast wyciągnąć ze szpitala. Ale jak?

Marsh chrząknął i popatrzył na Maxi.

- Wyjechała do Monterey z jednym klawiszowcem z zespołu Młot Pneumatyczny - powiedział.

Maxi parsknęła śmiechem. Bob natychmiast zrozumiał, co trzeba zrobić. Marsh musi przestać rozczulać się nad sobą.

- Może to lepiej dla ciebie, że sobie poszła - powiedział ze śmiertelną powagą i skrywając uśmiech patrzył, jak Marsh zaczerwienił się ze złości.

“Dobra - pomyślał. - Niech się wścieka! Teraz trzeba doprowadzić go do stanu, który wyrwie go z łóżka. Pora na terapię wstrząsową!”

I Bob objął Maxi, która odchyliła głowę, patrząc na niego pytającym wzrokiem.

- Maxi! Co byś powiedziała na krótki wypad na plażę dziś wieczorem? Marsh i tak nie może być na próbie, a my...

- Chwileczkę! - Marsh usiadł wyprostowany jak struna.

- Mam dosyć czekania, aż weźmiesz się w garść, Marsh - powiedziała Maxi.

- Co? Ty masz dosyć czekania na mnie?!



- I te wszystkie twoje niewydarzone dziewczyny. Niby-artystki. Raz mógłbyś sobie znaleźć kogoś, kto umie śpiewać.

Bob usłyszał szmer przy drzwiach. Wyrzwał szybko na korytarz. Na tle gołej białej ściany zobaczył połyskującą łysinę i, tuż obok, sterczącą na wszystkie strony szopę włosów. Tony i Quill patrzyli na niego pytającym wzrokiem. Bob potrząsnął głową i muzycy zostali na zewnątrz, podsłuchując i wymieniając porozumiewawcze uśmiechy.

- Ciekawe, co byś zrobiła, gdybym naprawdę znalazł sobie kogoś dobrego?

- Poszłabym sobie. Na pewno.

- No właśnie!

Maxi pomyślała chwilę, a potem powiedziała cichym głosem:

- Nie chciałbyś, żebym odeszła?

Marsh przybrał przerażony wyraz twarzy i potrząsnął głową.

Świetnie, pomyślał Bob. Oni się znowu zejdą i Marsh ruszy stąd swoje zwłoki.

- Jesteś jedyna - mówił Marsh. - Nawet jeśli zachowujesz się czasami jak wariatka.

- Jak wariatka? - powtórzyła Maxi, robiąc krok w stronę łóżka.

- Pewnie. Nie ma nikogo takiego jak ty - zanucił Marsh. - Na moment o tym zapomniałem. Chwilowa utrata poczytalności. Ale kiedy ten facet cię objął... - spojrzął na Boba. - Dużo lepiej wyglądasz w moich ramionach...

Maxi rzuciła się mu w objęcia.

- Ale wiesz, Marsh - powiedziała po chwili - ja jeszcze nie chcę wychodzić za mąż.

- W porządku. Może kiedyś zmienisz zdanie. Do tego czasu będziemy razem robić czadową muzykę!

- No, no, no - odezwał się od drzwi Tony i obaj z Ouillem podeszli do łóżka. - Zespół Hula Łups jest razem. A może lepiej powiedzieć, że my jesteśmy razem?

- Solidarni wobec przeciwności losu - dodał Ouill.

- Trzeba to uczcić! - wykrzyknął Tony.

- Chodźmy na kręgle i hamburgera - zaproponował Marsh.

- Najpierw muszę się przebrać - zaprotestowała Maxi.

- I ja też, maleńka - objął ją Marsh. - A potem stąd spadam. - Odmiana jest jedynym stałym elementem ludzkiego życia - powiedział sentencjonalnie.

- W porządku, chłopaki - roześmiał się Bob. - Zostawiam was. Marsh, nie

zapomnij oficjalnie wypisać się ze szpitala, dobrze? I pamiętajcie - jutro jest wasz wielki dzień!

“Jedno potencjalne niebezpieczeństwo zażegnane – myślał z ulgą Bob, idąc na parking. - Niechby ten Sax już był z powrotem!” Bob miał wątpliwości, jak długo uda mu się wytrzymać w roli zastępczego ojca bandy niedorosłych dzieci.

Otworzył drzwiczki swojego garbusa. Coś lśniącego leżało na podłodze. Schylił się. Był to srebrny medalion z wizerunkiem Buddy. Skąd, do diabła, się tu wziął? Najwyraźniej wyleciał komuś z kieszeni. Ale komu? Na pewno nie jemu. Na pewno nie Maxi. No więc komu?

Poczuł zimny dreszcz na plecach.

Rozejrzał się po wnętrzu samochodu. Gazety, puste pudełka po pizzy, tenisówki, spodenki gimnastyczne, skarpetki - wszystko to znajdowało się tam od zawsze. Trudno stwierdzić, czy ktoś przeszukiwał garbusa podczas jego pobytu w szpitalu.

Rozejrzał się dokładnie po parkingu. Nie zauważył ani białego datsuna, ani czerwonego forda pinto. Nigdzie nie było też niebieskiej furgonetki. Zrozumiał, co czuje człowiek poszukiwany listem gończym.

Wskoczył do samochodu i zapalił silnik. Im szybciej stąd zniknie, tym lepiej.

## ROZDZIAŁ 12

### SŁAWNY MECHANIK

Wracając do biura, Bob uważnie przypatrywał się mijającym go samochodom. W pracy co chwilę wyglądał przez okno. Nie przestawał rozglądać się na wszystkie strony ani podczas powrotu do domu, ani późnym popołudniem, kiedy jechał do Jupitera.

Miał wrażenie, że jest śledzony przez setki oczu, które dokładnie widzą każdy jego ruch, podczas gdy on nie jest w stanie zobaczyć nikogo.

Na samą myśl o tym przeszywały go dreszcze.

- Znalazłem ten medalion w garbusie na podłodze - opowiadał wieczorem kolegom. - Widać nawet dziurkę, przez którą przechodził łańcuszek.

Podał medalion Jupiterowi.

- Nawet jeśli facet Jechał za mną do biura, nie udało mi się go zlokalizować - dodał.

- Co wcale nie znaczy, że go tam nie było - zauważył Pete.

- Jakbym sam tego nie wiedział!

Tymczasem Jupe badał medalion przez jubilerską lupę. Chłopcy przyglądali się mu w milczeniu.

- Sytuacja jest niebezpieczna - mruknął w końcu Jupe, obracając w palcach srebrny krążek nie większy niż mała moneta. - Nie znalazłeś łańcuszka?

- Nie.

- Bob, o której byłeś w szpitalu? - zapytał nagle Pete.

- Jakoś tak w porze lunchu. A bo co?

- W takim razie skreśl blondyna z listy podejrzanych. W tym samym czasie kręcił się po parkingu biurowca Galactic.

- Nie zapomnij opowiedzieć wszystkiego - uśmiechnął się Jupe do Pete'a.

Pete podniósł brwi i udawał, że nie rozumie.

- Po raz pierwszy w historii - śmiał się Jupiter - Pete zachował się jak ostatnia łamaga.

Pete zaczerwienił się po uszy. Bob patrzył na niego z niedowierzaniem. Taki sportowiec? Dużo lepszy od niego, nie mówiąc już o Jupiterze. Każdego mógł wpędzić w kompleksy swoją fizyczną sprawnością...

- Więc co się stało? - zapytał w końcu.

- Nasz Superzręczny Detektyw miał spotkanie ze stosem metalowych pudeł po taśmach, które - niesione przez technicznego z Galactic przecięły niespodziewanie trasę jego pościgu - opowiadał Jupiter. - Rezultat: Pete oraz puszki na asfalcie i wolna droga dla blondyna, który zwał natychmiast.

- To była idiotyczna nieuwaga. Przyznaję. Ale nie mogę być Carlem Lewisem przez cały czas.

Zaśmiali się wszyscy. Jupiter podał medalion Pete'owi.

- Żadnych napisów - ani starych, ani nowych - powiedział. - Wizerunek Buddy z jednej strony, drobne wzory z drugiej. Ponieważ w Azji żyje wielu buddystów, można przypuścić, że któryś ze znanych nam Azjatów włamał się do garbusa Boba.

- Pewnie masz rację, ale co mi z tego przyjdzie? - Bob pokiwał głową. - Czułbym się dużo lepiej, gdyby nie siedzieli mi na karku. Czy nie można jakoś uświadomić im, że nie mam już tych taśm?

Nagle na podwórzu zobaczyli światła samochodu. Podskoczyli wszyscy trzej. Elektronicznie sterowana brama do składu stała otworem. Jak to możliwe? Tylko rodzina Jonesów miała piloty!

Dostojnie długi, lśniący rolls-royce sunął w kierunku szopy.

- O rany! Silver Shadow! - jęknął Pete.

Silver Shadow był to wzorowany na starych modelach, ręcznie robiony rolls-royce, wart ponad sto tysięcy dolarów. Co taki samochód robił w składzie staroci?

Chłopcy z szacunkiem zbliżyli się do auta. Niski, cichy warkot silnika umilkł, drzwi od strony kierowcy otworzyły się i ze środka wyskoczył... Nie! Ze środka wyskoczył Tay.

- Cześć, chłopaki - powiedział radośnie. - Cieszę się, że jesteście. Chciałbym, żebyście kogoś poznali.

Jakim sposobem w ręce Taya dostało się to cudo techniki? Jupe, Bob i Pete patrzyli na siebie z wyraźnym niedowierzaniem. Tymczasem Tay obszedł samochód i otworzył drzwiczki z drugiej strony. Ze środka wyłoniło się następne zjawisko - wspaniała rudowłosa piękność na superwysokich obcasach, w obcisłej, błyszczącej sukni. Ten typ wspaniałych rudowłosych piękności spotyka się zwykle na okładkach błyszczących magazynów.

A tuż za nią stał Tay - jak zwykle rozwichrzony, niechlujny - nic sobie nie robiąc ze swoich znoszonych dżinsów i zapapranego olejem samochodowym podkoszulka.

- Nigdy ci tego nie zapomnimy, Tay - mruknął Pete.

Jupe i Bob pokiwali głowami.

Rudowłosa uśmiechnęła się do Taya. W półmroku błysnęła jej szminka.

- Czy to są twoi przyjaciele? - zapytała.

- Taaa. Chłopaki, przywitajcie się z Carłą.

- Cześć - powiedzieli zgodnie.

- To są Jupe, Pete i Bob - ciągnął Tay.

- Witajcie. Bardzo się cieszę, że was poznałam - Carla uśmiechnęła się zniewalająco. - Wasz przyjaciel zrobił mi ogromną przysługę. Wyobraźcie sobie, że jechałam właśnie na przyjęcie, ubrana tak, jak widzicie, i mój samochód stanął dokładnie na środku autostrady. Wyobrażacie to sobie?

Chłopcy wydali kilka pomruków oznaczających współczucie.

- Wtedy przyjechał Tay - ciągnęła rudowłosa - i naprawił wszystko w jednej chwili. Ale to nie koniec. Zostawił własny samochód i przywiózł mnie do Rocky Beach. Mogłam przecież mieć jeszcze podobne problemy. Nie znoszę być bezbronną kobietką, ale obawiam się, że nie wiem nic o samochodach.

- Mały problem z przewodem paliwowym - wyjaśnił Tay skromnie. - Pękł, więc założyłem nowy.

- Stokrotne dzięki, Tay. Wiem, że musisz porozmawiać chwilę z przyjaciółmi, więc wracam do samochodu. Czekał na ciebie. Ciao, chłopcy - Carla posłała im kolejny wspaniały uśmiech i wśliznęła się na przednie siedzenie.

- Co za kobieta! - z podziwem odezwał się Bob.

- Co za samochód! - zawtórował mu Pete tym samym tonem.

- Dla każdego coś miłego - Tay z godnością przyjmował wyrazy zachwyty. - Jak widzicie, warto być uczynnym.

- Twoja szlachetność jest porażająca, Tay - powiedział Jupe.

- Jasne. Taki już jestem - zgodził się Tay. - Aha, Bob, mam coś dla ciebie. Zasięgnąłem języka w sprawie pirackich taśm.

- Dowiedziałeś się czegoś?

- Naprawdę niewiele. Prawie cały interes jest w rękach jednego gościa. Ten facet jest zbyt dobrze kryty, żebym mógł zdobyć jego nazwisko. Rzuciłem słówko tu i tam, ale ludzie milczą. Boją się jak nic. On musi być silny. I na pewno ma silnych ludzi.

- Jakież konkrety? - spytał Bob.

- Działa gdzieś w okolicach Los Angeles. I rośnie w potęgę. Wyobraźcie sobie, że miał czelność wydać katalog taśm, które ma do sprzedania. Jest tam ponad tysiąc

pozycji - wierzycie? Tu i tam kręcą się też różne plotki. Ale jakość ich kaset nie umywa się do kaset wielkiego gościa. Ten to musi mieć wejścia! Czasami udaje mu się wydać kasety, zanim zrobią to wielkie wytwórnie!

- Czyli ma dostęp do taśm-matek - mruknął Jupiter. - I informacje z pierwszej ręki o tym, co ma szansę trafić na listy przebojów.

- Zgadłeś - przytaknął Tay.

- A ci drobni? Co o nich wiadomo? - dopytywał się Bob.

- Partanina. Domowi majsterkowicze, którzy robią marne kasety, sprzedawane potem na ulicach, szkolnych podwórzach, pchlich targach i w różnych takich miejscach.

- Kto to? Azjaci? - naciskał Bob.

- W tej chwili najmocniejsi są Tajlandczycy. Mówi się, że Bangkok jest przestępczym centrum Azji.

- Chcesz powiedzieć, że pirackie kasety sprowadza się aż z Bangkoku?

- Tam wszystko kosztuje sto tysięcy razy mniej - wyjaśnił Tay. - Taniej jest zrobić coś w Bangkoku i przeschmuglować do Stanów niż kupić surowce i wyprodukować to tutaj.

- Zaraz wracam - odezwał się Jupe tajemniczym tonem i zniknął w przyczepie.

Tay, nie zrażony zachowaniem Jupitera, ciągnął opowieść;

- Nie myślcie, że takie piractwo to nowy wynalazek. Znam gościa, który ma taśmę Beatlesów nagranych w latach sześćdziesiątych. Fałszywkę, oczywiście, chociaż skopiowaną z taśmy-matki. Zabawne jest to, że Beatlesi zmienili "matkę" już po tym, jak została przegrana przez piratów. Usunęli trąbki, dodali kilka gitarowych solówek... No, zrobili sporo drobnych przeróbek. To wszystko słyhać, kiedy się porównuje wersję piracką z taśmą kupioną w sklepie.

- A to numer! - pokręcił głową Pete.

- Mam! - oznajmił, Jupiter wyskakując z przyczepy z otwartym "Almanachem świata". - "Religia w Tajlandii - przeczytał. - Dziewięćdziesiąt procent ludności wyznaje buddyzm".

- Dzięki za troskę o moje wykształcenie, Jupe, ale na mnie czas - poderwał się Tay. - Sami rozumiecie, mam towarzyskie zobowiązania.

Patrzyli z podziwem, jak Tay wsiada do srebrnego rollsa i odjeżdża.

- Nic mi się tu nie zgadza - mruknął Jupe.

- Co? - nie rozumiał Pete.

- Tay to świetny gość - kręcił głową Jupe - ale nie mogę zrozumieć, co taka dziewczyna w nim widzi. Spójrzcie tylko - on wygląda jak wiecznie usmarowany szympans.

- Widocznie jest w nim jakiś zwierzęcy magnetyzm.

Ryknęli śmiechem na uwagę Pete'a i usiedli w szopie, żeby zastanowić się nad dopiero co zdobytymi informacjami.

- Wygląda na to, że goście z pchlego targu - facet z blizną i ten jego pomagier - importują kasety z Tajlandii - powiedział Bob.

- To pewne - zgodził się Jupe. - Najwyższy czas, żeby ustalić plan działania.

- Jak złapać piratów? - Bob popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Właśnie tak - Jupiter nie przejął się wątpliwościami kolegi. - Taśmy, które znalazły się w twoich rzeczach. Bob, prowadzą do wielkiego bossa, bo tylko jego kopie są świetnej jakości. Jak dopasować do tego obie pary z pchlego targu? Jeszcze nie wiem. Przypuśćmy - bo na razie nie mamy na to dowodów - że Azjaci są Tajlandczykami. Mamy więc po jednej stronie blondyna, który pracuje z Tajlandczykiem, a po drugiej dwóch Tajlandczyków, którzy wynajęli stoisko na targu.

- W porządku - zgodził się Bob. - Wiemy też, że obie grupy mogą się zwalczać.

- Mogą? - wtrącił Pete z niewinną miną. - Ciekawe, dlaczego tak uważacie? Tylko dlatego, że niszczą sobie nawzajem samochody i strzelają do siebie?

Jupiter zignorował go całkowicie.

- Wydaje się - ciągnął - że jedni i drudzy chcą zdobyć tę samą taśmę. Tylko co ich łączy?

- A co powiesz o tajskim pochodzeniu? - zasugerował delikatnie Pete i zaraz oberwał w bok od Boba. - O, przepraszam. Tym razem mówiłem poważnie. Mogą mieć wspólnych znajomych albo coś podobnego - bronił się Pete.

- Kto wie? - powiedział Jupe. - W Los Angeles jest spora społeczność pochodząca z Tajlandii. Ciężko pracujący imigranci, ogólnie szanowani. Piraci mogą wykorzystywać dobrą opinię o tajlandzkiej mniejszości dla swoich przestępczych celów.

- Może być też tak, że obie grupy postanowiły wyrolować wielkiego bossa - rzucił Bob.

Jupiter siedział przez chwilę ze zmarszczonym czołem.

- Wiemy, że jedni - a bardzo możliwe, że i drudzy - bardzo chcą mieć taśmę-matkę "Szalonej Kalifornii". Nie poszło im z nami, więc siłą rzeczy muszą

wrócić do Galactic Sound. Jeśli udało im się raz, uznają, że uda się im i drugi. Ja i Pete jutro od rana jesteśmy w Galactic!

Pete ze zboloną miną zaczął masować sobie stopy.

- Idę z wami - oznajmił stanowczo Bob. - Odważyłem już najważniejszą robotę u Saxa. Celesta da sobie radę z resztą. Łupy są pod kontrolą. Sax przyjedzie jutro i sam zawiezie ich na koncert.

- Świetnie - ucieszył się Jupe. - Czyli jutro będziemy we trójkę. Studia nagraniowe w Galactic pracują cały weekend. Ludzie, którzy ślęczą nad nowymi projektami, będą zadowoleni, że mają do dyspozycji więcej gości niż zwykle.

- Będziemy czekać, aż zjawi się ktoś po kopie "Szalonej Kalifornii" - powiedział Bob.

- Właśnie. Jutro siedzimy w Galactic do oporu, pamiętajcie. Musimy złapać ich na gorącym uczynku!

- Ale tym razem - narzekał Pete - nie mam zamiaru roznosić po wszystkich piętrach tych głupich listów! Jesteśmy w Galactic po to, żeby zbadać okoliczności bardzo interesującej sprawy.

- Amen - zakończył jego przemowę Jupiter. - Pamiętajcie, żeby wziąć walkie-talkie.

- I patrzeć uważnie za siebie - dodał Bob.

Przypomniał sobie śledzące go samochody. Wzdrygnął się. Wydawało mu się, że znowu czuje na plecach czyjś wzrok.



## ROZDZIAŁ 13

### ZŁE TOWARZYSTWO

Nawet w sobotę rano na autostradzie był duży ruch. Wydawało się, że samochody, uwięzione w korkach, nie posuwają się ani o krok. Jedynie muzyka z radia w samochodzie Pete'a rwała do przodu - całkowicie wolna i niezależna.

Chevrolet w żółwym tempie dowlókł się do zjazdu.

- Nareszcie! - krzyknął Pete, kiedy w końcu dotarli na ulice południowego Los Angeles.

- Miejmy nadzieję, że teraz zacnie to przypominać jazdę samochodem! - westchnął z ulgą Bob.

- No tak - wtrącił kwaśno Jupiter. - Kto wie, może uda się nam nawet dojść do trzydziestu pięciu mil.

Jupiter siedział z przodu, Bob z tyłu. Czuł się pewniej, kiedy mógł przyglądać się drodze za nimi. W pewnej chwili zauważył coś, czego bardzo nie chciał zobaczyć - białego datsuna B210.

Nie powiedział nic. Może to inny datsun, z normalnymi ludźmi w środku. Może ich wyprzedzi. Bob postanowił uważnie patrzeć. Datsun był trochę podniszczony. Ale w Los Angeles to nic dziwnego. Siedziało w nim dwóch mężczyzn. Zdarza się. Przecież nie widział ich twarzy.

Pete zjechał na prawy pas. Bob zobaczył bok datsuna i poczuł, jak włosy stają mu dęba ze strachu. Drzwi po stronie pasażera były wgniecione w trzech miejscach. Przypomniał sobie szaleńczą gonitwę wokół ronda. Nie miał już wątpliwości.

- Chłopaki - powiedział bardzo głośno, choć wcale tego nie chciał. - Mamy towarzystwo. Biały datsun z poharatany bokiem jedzie trzy samochody za nami.

- Nie ma sprawy! - Pete wjeżdżał właśnie na parking przed wieżowcem Galactic.  
- Niech wyjdą i nas złapią.

Szybko zawrócił i stanął przy samym wjeździe. Wszyscy trzej wyskoczyli i czekali, co będzie dalej. Datsun przejechał wolno tuż obok. W środku zobaczyli znajomych z pchlego targu - Tajlandczyków, którzy handlowali pirackimi kasetami. Kiedy, zorientowali się, że zostali rozpoznani, zaczęli się ostro sprzeczać. Jeden z nich wskazywał chłopców, drugi zdecydowanie kręcił głową.

- No, i na co czekacie? - wrzasnął na nich Pete, przyjmując wyjściową pozycję karate. - Wychodzić!

Tamci przez chwilę patrzyli to na Pete'a, to na siebie. W końcu kierowca wcisnął gaz do dechy i datsun zniknął za rogiem.

- Nie wrócą - stwierdził Bob.

- Niezbyt byli zadowoleni, że ich rozpoznaliśmy - dodał Jupiter.

- Co za szkoda! Serce mi krwawi - Pete teatralnym gestem schował głowę w dłoniach. - Miałem taką ochotę zrobić z nich naleśniki.

- Nie, teraz nie mam ochoty na naleśniki. Wolalbym pyszną pizzę na grubym cieście, z kiełbasą i mnóstwem sera - zawołał Jupe. - A do tego papryka, cebula i...

- Przestań, Jupe - zaśmiewał się Pete.

- Z tego, co pamiętam, twój program odżywiania nie przewiduje pizzę w menu - Bob nie miał litości dla Jupe'a. - A swoją drogą, czy udało ci się zrzucić jakieś kilogramy?

Jupiter spochmurniał.

- Wprawdzie na wadze nie widać żadnej różnicy - powiedział - ale to dlatego, że przy wzmożonym poziomie aktywności tłuszcz zamienia się w mięśnie.

- Jeszcze jeden taki dzień w Galactic - podsumował Pete - a będziesz jednym wielkim kłębem mięśni.

- Spodziewam się tego.

Byli już w holu. Pete poszedł prosto do pokoju, w którym sortowano pocztę, złapał wszystko, co przeznaczone było na piąte piętro, i szybko wybiegł. Przyglądał się uważnie napotykanym ludziom z nadzieją, że zauważy znajomych Tajlandczyków, blondyna lub w ogóle coś podejrzanego.

Jupe przedstawił Boba pracownikom studiów nagraniowych na drugim piętrze. Potem sprawdził taśmy-matki w pokoju Hanka Riversa. Na półce leżało już osiemnaście szpul - siedem kompletów "Szalonej Kalifornii" było gotowych. Cały ranek, biegając ze sprzętem po korytarzu i załatwiając tysiące spraw, Jupiter i Bob starali się nie tracić z oczu studia Riversa.

Przerwę na lunch Pete postanowił spędzić na zewnątrz tak jak poprzedniego dnia. Bob ustawił się na dole, w pobliżu automatów z napojami i kanapkami, a Jupiter znowu pomaszerował do pokoju Hanka. Wyjął z plecaka bagietkę z masłem i zasiadł do jedzenia.

- Rany, ale to smakowicie wygląda - Hank spojrzał znad porcji kolorowej sałatki makaronowej, obok której stał pojemniczek z musem czekoladowym.

- Co wygląda smakowicie? - nie wierzył własnym uszom Jupiter. - To? Na

pewno mowa o moim lunchu?

- No pewnie. Ja codziennie dostaję te dziwaczne dania. Sałatka makaronowa! Za moich czasów jadło się po prostu kluski z mięsem i z sosem. Mus czekoladowy! Dla mnie to zwykły budyń. Wiesz, moja żona poszła na kurs kreatywnego gotowania. Nie chcę ranić jej uczuć i nie mówię jej, że wolę tradycyjne jedzenie. A co może być bardziej tradycyjne niż kromka chleba z masłem?

Jupiter zawahał się przez chwilę. Przypomniawszy sobie poranną rozmowę z chłopakami. Ale bez przesady! Przecież poziom jego aktywności przez dwa ostatnie dni był naprawdę wysoki. Poza tym, zamienił się z Hankiem tylko jeden jedyny raz! Nie mówiąc o tym, że człowiekowi należy się coś ekstra, kiedy pracuje nad ciężką sprawą.

- Zamieńmy się - powiedział lekko. - Mnie jest wszystko jedno.

A w myśli przysiągł, że wieczorem wraca do swojego programu odżywiania.

- Pycha! - mruknął Hank, wgrzyzając się ze smakiem w bagietkę,

- Super! - westchnął Jupiter z buzią pełną sałatki.

Uśmiechnęli się do siebie konspiracyjnie.

Po lunchu Hank zaproponował Jupiterowi spacer.

- Dostaniesz klaustrofobii, jeśli się stąd nie ruszysz. Ja nie mogę usiedzieć tu przez cały dzień, szczególnie w sobotę. W tym pokoju bez okna nawet nie widać, jaka jest pogoda.

- Czuję się świetnie - zapewnił go Jupe, sprzątając po lunchu. Przecież jego zadaniem było pilnowanie osiemnastu szpul wzorcowego nagrania "Szalonej Kalifornii".

- Chodź, chodź - Hank najwyraźniej potrzebował towarzystwa.

Przepuścił Jupitera przodem i zamknął drzwi na klucz.

- Czy zawsze studia zamyka się na klucz?

- Tak, chyba że ktoś w nich pracuje. Przestań się migać. Idziemy. Minęła dopiero połowa czasu na przerwę.

Nie było wyjścia. Jupiter mógłby powiedzieć Hankowi, co jest prawdziwym powodem ich obecności w Galactic Sound, ale nie był jeszcze pewien, czy może mu zaufać. Zrobił dobrą minę do złej gry i poszli na spacer dookoła budynku.

Po powrocie Jupiter skierował swe pierwsze kroki do regału z taśmami. Z daleka wydawało mu się, że jest ich mniej. Musiał to sprawdzić.

Policzył. Szesnaście. Jeszcze raz!

- Hank! Brakuje dwóch szpul.

- Co? Niemożliwe - Rivers przeliczył taśmy. - Masz rację. Podeszedł do kartoteki.

- Nikt nie zapisał, że je wynosi. Co tu jest grane?

- Jak ktoś mógł je wynieść, skoro drzwi były zamknięte na klucz?

- Klucze ma kilka osób pracujących na tym piętrze. Czasami, kiedy trzeba, przenosimy się ze studia do studia. Nie rozumiem. Kto zapomniał zapisać, że bierze taśmy?

- A może ktoś je ukradł? - zasugerował Jupiter.

- Nieee, niemożliwe - Hank podrapał się po łysinie. - Nigdy dotąd nie mieliśmy tu kradzieży. Ktoś na pewno je pożyczył. Pójdę popytać.

Jak tylko Hank wyszedł, Jupiter wyciągnął walkie-talkie.

- Bob! Pete!

- Tak? - Co się dzieje? - obaj zgłosili się natychmiast.

- Ktoś ukradł taśmę-matkę "Szalonej Kalifornii". Spotykamy się na parkingu. Głowę daję, że złodziej będzie chciał jak najprędzej ją stąd wywieźć.

Po trzydziestu sekundach byli na dole. Z parkingu nie ruszał żaden samochód. Nigdzie też nie było widać czerwonego forda pinto, niebieskiego dodge'a, żółtej hondy civic ani białego datsuna.

Jak burza przebiegli na drugą stronę budynku.

- Tu jest! - wrzasnął Bob.

Kilka metrów dalej zobaczyli blondyna o wielkich stopach, który wsiadał właśnie do nowiutkiej, zielonej corvetty. Słyszac okrzyk Boba, podniósł głowę i zamarł na sekundę. Potem, nie czekając dłużej, zatrzasnął drzwiczki i ruszył z piskiem.

- Szybko! - powiedział Pete.

Pognali do chevroleta. W jednej chwili zostały po nich tylko czarne ślady opon na asfalcie.

## ROZDZIAŁ 14

### CO KRYJĄ KARTOTEKI?

- Mamy go!

Chłopcy siedzieli na ogonie zielonej corvetty.

- Zapisuję numer rejestracyjny - Jupiter wyciągnął z kieszeni notatnik.

- Dobra! - Pete nie miał czasu na długie odpowiedzi.

- No to zaraz będziemy mieć jego nazwisko, adres i telefon - nie krył podniecenia Bob.

Atmosfera w chevrolecie robiła się coraz bardziej gorąca. Mieli nareszcie pierwszego poważnego podejrzanego!

Blondyn skręcił w dzielnicę starych fabryczek i magazynów. W sobotę nie było tam prawie nikogo. Jezdnie były puste. Corvetta gwałtownie przyspieszyła i chłopcy zostali z tyłu. Nie zrażony tym Pete wcisnął pedał gazu, chevrolet skoczył do przodu i szybko nadrobił dystans. Jechali płynnie i pewnie. Wydawało się, że Pete i jego samochód tworzą jeden spójny organizm.

Ścigali się po wyludnionych ulicach, przecinali puste parkingi i dziwaczne zaułki, wzdłuż których stały wielkie, opuszczone budynki. Nagle blondyn skręcił w prawo i zniknął. Pete bez zastanowienia zrobił to samo.

Przez wielką dziurę, która musiała kiedyś być bramą gigantycznego garażu, wjechali w mroczną czeluść. Byli w zrujnowanym pomieszczeniu. Śmieci i pokruszone fragmenty murów były wszędzie. I ani śladu corvetty.

- Psiakrew! Ale mamy pecha.

Musieli przystanąć. Hala rozdzielała się na trzy budynki, które rozciągały się na prawo, na lewo i wprost przed nimi.

- I dokąd teraz? - zapytał Pete.

- Trzeba zgadywać - wzruszył ramionami Jupe.

- Dobra! - i Pete skręcił w lewo.

Jechali chwilę po pokruszonym szkłe, w półmroku. Hala kończyła się wyjazdem na wąską rampę prowadzącą na ulicę. Bob z trudem powstrzymał się przed narzekaniem. Przecież od początku miał pewność, że należało skręcić w prawo, nie w lewo.

- Wykiwał nas - jęknął Jupiter.

- Musi być teraz na drugim końcu miasta - wtórował mu Pete.

- Już go nie dogonimy. Wracajmy do Galactic - zaproponował Bob. - Może uda się nam coś znaleźć w dziale personalnym. Na pewno mają listę samochodów, które parkują na ich terenie. Chyba dojdziemy, kto jest właścicielem corvetty.

- Świetny pomysł - Jupiter pokiwał głową z uznaniem. - Powinniśmy też sprawdzić kartotekę tych, którzy ostatnio odeszli z pracy lub zostali zwolnieni.

- Nie zapominajcie, że mamy trzy pierwsze litery rejestracji forda - przypomniał Pete.

- Dziś rano zapisałem w końcu dane datsuna - Bob wyjął z kieszeni skrawek papieru.

Wszyscy trzej wracali do Galactic trochę podniesieni na duchu. Bob przez cały czas obserwował drogę za nimi - niestety, w tej sprawie byli wciąż ściganymi, nie ścigającymi.

Jupe, Bob i Pete wpadli na drugie piętro i pognali do działu personalnego. W jednym pokoju paliło się jeszcze światło. Pozostałe były ciemne - w weekendy dział pracował tylko rano.

Za biurkiem siedziała sztywna kobieta o bladej twarzy i siwych włosach zaczesanych gładko na tył głowy. . - Słucham? - zapytała, nie podnosząc nawet oczu.

- Chcielibyśmy przejrzeć dane samochodów, które mogą wjeżdżać na teren firmy - powiedział grzecznie Jupiter.

- To poufne informacje. Nie udostępniamy ich. Nikomu - dodała surowym tonem.

Potem obejrzała od góry do dołu trzech stojących przed nią nastolatków i bez słowa wróciła do pracy.

- Ale proszę pani - Bob przywołał na pomoc swój słynny uśmiech - działamy w interesie firmy...

- Młody człowieku - przerwała, uśmiechając się z lekceważeniem - od jak dawna pracujesz w Galactic?

- Eee, jeden dzień.

- Jeden dzień? I przychodzisz tutaj, żeby uczyć mnie - od trzydziestu pięciu lat zajmującą się sprawami Galactic - co jest dobre dla firmy?

Potrząsnęła głową, niezdecydowana, czy się śmiać, czy złościć. Jupe i Pete parsknęli na widok głupiej miny Boba. Jeszcze mu się nie zdarzyło doznać tak sromotnej porażki w rozmowie z jakąkolwiek kobietą.

- Chodźmy - Jupiter odciągnął kolegów na drugi koniec pokoju. - Mam pewien pomysł.

Kobieta przyglądała się, jak podchodzą do telefonu, ale bez słowa wróciła do pracy.

- Jak się przez nią przebić? - zastanawiał się Bob.

- To proste - wyszczerzył się do nich Jupiter. - Mogę się z wami założyć, że za dwie minuty będzie jeść nam z ręki.

I nie przejmując się pełnymi wątpliwościami spojrzeniami Boba i Pete'a, Jupe wyjął z kieszeni wizytówkę, sprawdził numer i sięgnął po telefon.

- Halo? Mówi Jupiter Jones...

Potem wyjaśnił, co się dzieje, i wspomniał o kartotekach.

- Tak. Dziękuję - powiedział w końcu, ale nie odkładał słuchawki, tylko podszedł znowu do urzędniczki za biurkiem. Ta spojrzała na niego zmrużonymi ze złości oczami.

- Znowu tutaj?

- Pan Ernesto Lara chce z panią mówić. Czeka na trzeciej linii.

- Nie marnuj mojego czasu - odpowiedziała niewzruszona.

Jupiter przechylił się, nacisnął odpowiedni guzik na jej telefonie i podając, słuchawkę, powiedział:

- Pan Lara czeka.

Kobieta zawahała się przez moment, ale zaczęła rozmowę.

- Mówi Anna Hansen... Pan Lara?! - słuchała chwilę. - Nic mi pan nie mówił... I bierze pan za nich całkowitą odpowiedzialność? Dobrze.

Odłożyła słuchawkę trochę głośniej, niż było trzeba, i zmierzyła chłopców badawczym wzrokiem.

- Tędy proszę - powiedziała w końcu, wstała i poprowadziła ich długim korytarzem.

Szli za nią, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia. W wielkim pokoju zapełnionym kartotekami podeszła do komputera i wystukała kilka komend.

- Oto lista samochodów. Według nazwisk właścicieli oraz według numerów rejestracyjnych. Czy coś jeszcze?

Bob natychmiast usiadł i zaczął przeglądać spis.

- Poproszę o dane pracowników, którzy ostatnio odeszli z pracy i tych, którzy zostali zwolnieni. Chciałbym też wiedzieć, kto był w tym tygodniu na zwolnieniu

lekarskim - wyliczył Jupiter.

Pani Hansen wywołała dane na innym monitorze, przy którym od razu usiadł Pete.

- Coś jeszcze? - zapytała Jupitera.

- Dane wszystkich pracowników.

- Te trzy - wskazała ręką szare szafy - zawierają dane bieżące. W tamtych pięciu są informacje zdezaktualizowane.

- Dziękuję bardzo. To wszystko.

Zimno skinęła głową i wyszła.

- Muszę oddać ci sprawiedliwość, Jupe - odezwał się Bob znad swojego komputera. - Jednak wiesz, jak postępować z kobietami.

- Ale z tymi powyżej pięćdziesiątki - mruknął złośliwie Pete.

- Wszystko polega na odpowiednich kontaktach, chłopcy - zadowolony Jupiter stał za plecami Pete'a i pomagał mu szukać. - Liczą się tylko kontakty.

- ... żadnego białego datsuna - rozległ się głos Boba.

I zaraz potem:

- Znalazłem!

- Co?

- Właściciel corvetty nazywa się Brick Kalin. Przeliterował nazwisko.

- Brick Kalin jest od trzech dni na urlopie - Pete wpatrywał się w swój monitor.

- Co znaczy, że w środę mógł być na pchlim targu.

- Mam jeszcze coś - przerwał mu Bob. - Czerwone pinto należy do niejakiego Porntipa Thanikula. To może być tajlandzkie nazwisko, nie? Podszedł do kartotek, żeby znaleźć więcej danych.

- Bingo! - krzyknął Pete. - Od środy na zwolnieniu lekarskim jest Thanom Thanikul. To samo nazwisko, prawda?

Wszyscy trzej byli coraz bardziej podnieceni. "Nareszcie coś mamy - myślał Bob. - Może dokąś nas to doprowadzi."

- Popatrzcie na to! - Pete wyciągnął z kartoteki teczkę Bricka Kalina, z przypiętym zdjęciem. - To on!

- Nasz tajemniczy blondyn - wykrzyknął Bob.

- Czytajcie dalej - popędził ich Jupe. - Kalin jest inżynierem. Prawdopodobnie ma dostęp do wszystkich studiów. A może sam nagrywa taśmy-matki.

Bob odszukał szufladę zawierającą nazwiska na literę T.



- Porntip Thanikul. Mam. To kobieta. Urodzona w Bangkoku, ma obywatelstwo amerykańskie. Pracuje w dziale analiz rynku. Chyba jej nie widziałem. A wy?

Jupe i Pete potrząsnęli głowami.

- No to poszukajmy następnego ptaszka. Thanom Thanikul. - Bob sięgnął po następną teczkę. - Hmm. Też urodzony w Bangkoku. Jeszcze bez obywatelstwa, jest tu portierem.

Pete i Jupe pochyłili głowy, żeby lepiej przyjrzeć się małemu zdjęciu dołączonemu do danych. Nie było wątpliwości! Ten mężczyzna pomagał Kalinowi bić piratów z pchłego targu.

- Trzeba zapisać adresy obojga Thanikulów - powiedział Jupe. - Wiemy, że Thanom jest związany z Kalinem. Prawdopodobnie Porntip też.

- Wiemy, że dwa razy prowadził jej czerwonego fordka - dodał Pete.

- Sprawdźmy najpierw dom Kalina - zaproponował Jupiter.

- Może uda się nam dorwać faceta.

- Jego albo kasety, które dziś rano stąd wyniósł - dodał Bob.

W pośpiechu włożyli na miejsce wszystkie tečky i wypadli z pokoju. Mijając biurko "żelaznej damy", pomachali jej na pożegnanie. Ona zdobyła się na ledwo widoczny ruch ręką. Pognali korytarzem do schodów, a potem na parking.

I stanęli jak skamieniali.

Wszystkie cztery opony chevroleta Pete'a były pocięte.

## ROZDZIAŁ 15

### ZIGNOROWANE OSTRZEŻENIE

- A to łajdaki! - Pete kopnął oponę. - Nie mogę w to uwierzyć.

Kopnął następną. Kawalki gumy poleciały na asfalt.

- Przykro mi, chłopie - powiedział Bob.

- Całkiem nowe opony! - wrzasnął Pete, kopiąc następne dwie. - A moje ubezpieczenie nie pokrywa kosztów nowych opon.

- To coś więcej niż zniszczone opony - odezwał się Jupiter poważnie. - To ostrzeżenie. Ktoś użył piły, żebyśmy zrozumieli, że to nie żarty.

- Ja zrozumiałem - Pete ledwo hamował narastającą w nim wściekłość.

Miał dosyć. Nie chciał dłużej być okradany, napastowany ani śledzony.

- Ale jeśli myślą, że się wywiną, to są w błędzie! Zgnieciemy ich na proch! - Pete z zaciśniętymi pięściami stał naprzeciw kolegów.

W tej chwili w drzwiach pojawił się Johnny MacTavish z informacją o telefonie do Boba. Bob natychmiast pognął do środka, zachodząc w głowę, co stało się tym razem. Nie miał pojęcia, kto może szukać go w Galactic.

- Bob? - usłyszał głos Celesty. - Nie zgadniesz, co się stało. Łupsy są w tarapatach.

- Mów - westchnął.

- Dałam im kluczyki do karawanu, bo chcieli przed koncertem pojeździć trochę po Los Angeles. Wpaść tu i tam, żeby się rozluźnić. Załadowali do środka wszystkie instrumenty. Ale nikt z nich nie pomyślał, żeby wziąć pieniądze. Teraz stoją przed jakąś stacją benzynową, bo nie mają czym zapłacić za benzynę. Głupki - Celesta była wyraźnie zniecierpliwiona.

- Jest już czwarta! - wykrzyknął Bob. - Najpóźniej o siódmej muszą zameldować się w biurze festiwalu. Nie mają zbyt wiele czasu. Ale poczekaj! Dlaczego Sax nie może po nich pojechać?

- Lepiej usiądź - prychnęła Celesta. - Sax dzwonił dziś z informacją, że przyleci popołudniowym samolotem. Chciał zostać jak najdłużej z mamą. Niestety, kiedy cofał rezerwację, komputer wymazał tę nową, nie tę starą. Efekt jest taki, że Sax nie zjawi się w Los Angeles przed północą.

Bob poczuł, jak ściska mu się żołądek. Wiedział, co powie dalej Celesta.

- Musisz sam zawieźć Łupsów na konkurs.

“Co tu robić - myślał spanikowany. - Oni trzej sterzą tu bez samochodu, Łupsy wprawdzie mają samochód, ale nie mają kasy, żeby go użyć. Pięknie!”

- Gdzie oni są? - spytał po chwili namysłu.

Celesta podała mu adres.

- Nieźle. Mogliby być dużo dalej. Zobaczą, co da się zrobić.

Odłożył słuchawkę i zadzwonił po taksówkę.

Na parkingu sytuacja poprawiła się. Pete trochę się opanował. Właśnie opowiadał Jupiterowi o planie pożyczania zapasowych opon od taty i Taya, o tym, jak później zarobi pieniądze, reperując samochody sąsiadom i...

- Chłopaki - przerwał Bob - macie przy sobie jakąś forszę?

- Pytasz się mnie? - jęknął w odpowiedzi Pete, ale posłusznie zaczął grzebać w kieszeniach.

Uzbierali wszyscy dwadzieścia dwa dolary i trzynaście centów.

- Powinno nam wystarczyć - zdecydował Bob. - Jedziemy zaraz.

Dopiero w taksówce opowiedział im, co się stało. Zanim dotarli do karawanu królującego na podjeździe stacji, mieli gotowy plan.

- Hej, hej, hej - zakrzyknął Tony, kiedy ich zobaczył. - Ależ nieprzyjemna sytuacja!

Z niewinną miną poklepał się po kieszeniach - a miał ich sporo. Właściwie całe spodnie - od pasa do kostek - pokryte były kieszeniami różnej wielkości i kształtu.

- Głodny wielbłąd dotarł do oazy, ale nikt nie rozwiązał mu pyska - obwieścił Quill.

- Cześć, Bob - Maxi przybiegła i ucałowała go w policzek, nie czekając nawet, aż zapłaci taksówkarzowi. - Cześć, Pete! - Pete też zarobił całusa. - Ciebie jeszcze nie znam - powiedziała wesoło do Jupitera.

W jednej chwili Jupe zaczerwienił się po same uszy. Zrobił krok do tyłu.

- To Jupe - powiedział jej Bob. - Sławny Jupiter Jones.

- Jupiter Jones! - Maxi była zachwycona. - Bob opowiadał mi o tobie. Mózg całego przedsięwzięcia! - podskoczyła i przyjrzała mu się, marszcząc brwi.

Jupe stał jak sparaliżowany. Tymczasem Maxi złapała go za uszy, przyciągnęła do siebie i ucałowała gorąco w policzek.

- Jesteś cudowny - oznajmiła.

Zaskoczony Jupe złapał się za policzek.

- Cześć, chłopaki - Marsh uściskał dłonie wszystkim trzem detektywom. -

Dzięki za ratunek.

Pete nie zwlekając sięgnął po dystrybutor, a Bob wyjaśnił, dlaczego to on zamiast Saxa zawiezie ich na koncert.

- W porządku - Tony klepnął go w ramię.

- ... Mamy mały problem - ciągnął Bob. - Jupe, Pete i ja musimy najpierw coś załatwić. Pracujemy właśnie nad pewną sprawą...

- To dlatego cały czas patrzyłeś we wsteczne lusterko, kiedy jechaliśmy do szpitala - domyśliła się Maxi. - Wiedziałam, że coś się dzieje...

- Miałaś absolutną rację.

Po czym opowiedzieli Łupsom o skradzionych taśmach i śledztwie w Galactic.

- W Galactic Sound! - pokręcił głową Tony. - To nie byle co!

- Tak. To są goście! - zgodził się Marsh.

- Nie możecie nas tu zostawić! - zaprotestowała Maxi.

- Będzie bezpieczniej, jeśli na nas poczekać - wyjaśnił Jupiter, który zdążył nieco ochłonąć.

Właściwie... wariackie zachowanie Maxi było... całkiem miłe.

- Ci piraci nie żartują - poparł Jupe'a Pete. - Powinniście zobaczyć, co zrobili z moimi oponami! Nie mówiąc o tym, że mają broń.

- Wy pomogliście nam, a teraz my pomożemy wam - oznajmił Marsh.

- Możemy obserwować budynek, kiedy będziecie w środku - zaproponowała Maxi. - Nie mówiąc o czasie, który oszczędzicie, jeśli nie będziecie musieli wracać po nas.

- Nie i nie - upierał się Pete i odszedł, niewzruszony, zapłacić za benzynę.

- Bob! - Maxi nie miała zamiaru ustąpić. - Nie zostawiajcie nas.

- Jeśli chcesz dokądś dojść, musisz iść do przodu - wygłosił kolejną sentencję Quill i uśmiechnął się.

- Musicie dać słowo, że na krok nie ruszycie się z karawanu - zmiękł Bob.

W odpowiedzi usłyszał chóralne "tak".

- Co o tym myślisz, Jupe?

- Bardzo proszę! - Maxi uśmiechnęła się do Jupe'a.

- Ach, niech będzie - odpowiedział Jupiter. - Ładujcie się do środka.

Pete, zajmując miejsce za kierownicą, westchnął zrezygnowany na widok podekscytowanych Łupsów, którzy razem z instrumentami tłoczyli się z tyłu.

- Jak widzę, mamy posiłki - mruknął kwaśno do Jupitera. - Wyciągną nas z

kłopotów, tak?

- Wyluzuj się - odpowiedział Jupe.

Bob zwijał się ze śmiechu, bo Pete nie przestawał narzekać. W końcu Jupiter podał adres Kalina i karawan ruszył.

Było wpół do szóstej, kiedy dotarli na miejsce. Ulica, ocieniona cyprysami, znajdowała się w ekskluzywnej części Hollywood Hills. Z murów otaczających wille zwieszało się dzikie wino, z ogrodów wyglądały strzyżone jałowce. Nie było wcale chodnika dla pieszych.

- To ten dom - Pete przejechał powoli obok rozległego, parterowego budynku, wkomponowanego z wielkim smakiem w zbocze wzgórza.

- Zatrzymaj się trochę dalej - powiedział Jupiter.

Bob przypomniał Łupsom o ich obietnicy.

- Jeśli nie wrócimy w ciągu pół godziny, wezwijcie policję.

- Możecie być spokojni - rzekł Tony.

- Uważajcie na siebie - poprosiła Maxi.

Trzej Detektywi sprawdzili ulicę. Była pusta. Bob czuł, że serce wali mu z podniecenia i strachu. Ale - powiedział sobie - jeśli ktoś utrzymywałby, że się nie boi w podobnej sytuacji, byłby głupcem albo kłamcą! Zaczynała się poważna operacja. Byli coraz bliżej rozwiązania.

Powoli doszli do domu Kalina. Posesja otoczona była wysokim, drewnianym płotem. Z parteru dobiegały słabe dźwięki muzyki.

- "Szalona Kalifornia"? - zapytał Pete.

- Tak mi się wydaje - szepnął Bob.

- To znaczy, że trafiliśmy pod właściwy adres - powiedział Jupe z zawziętą miną.

Pete otworzył bramę. Cicho wśliznęli się do środka. Na podjeździe stały cztery samochody - znana im corvetta, czerwone pinto, wgnieciona honda civic oraz lincoln continental.

Przylepieni do ściany, zaczęli okrążyć dom. Gęsta trawa tłumiała ich kroki. Z otwartego okna sączyła się muzyka "Szalonej Kalifornii".

"Wiadomo, że Kalin ukradł taśmy. Czy to jednak możliwe - zastanawiał się Bob - że Kalin jest wielkim bossem, o którym opowiadał Tay?"

Nagle wszystko umilkło. Chłopcy wstrzymali oddech.

- Rozmawiałeś z Porntip? - dobiegł ich ostry głos.

- Tak, Brick.

“Kalin!” - Bob pogratulował sobie szczęścia,

- Porntip bardzo smutna - ciągnął drugi głos. - Moja siostra Porntip bardzo młoda. Zrobiła zły błąd.

- To jej brat - szepnął Bob.

- Moja siostra nie umiała zobaczyć, że robi kłopot. Prem jej narzeczony. Ona kocha Prem. Zrobi, czego on poprosi.

“Prem Manurasada? - Bob omal nie podskoczył. Ten ślad prowadził do piratów z pchlego targu!”

- Twoja siostra za dużo mówi! - odpowiedział Kalin. Jego rozgniewany głos niósł się przez okno. - Omal nie zrujnowała wszystkiego, Thanom.

- Ja przeprasza. Nie zdarzy się już to.

- Mam nadzieję, chłopie. Mam nadzieję. I radzę ci, żebyś nie nabijał sobie głowy tymi głupimi pomysłami twojej siostry. Pracujesz ze mną, rozumiesz? Chyba że życie ci niemiłe.

- Nie, Brick, proszę pana. Ja chce pracować. Tak, proszę pana. Bardzo mocno.

Znowu zapadła cisza.

- Chyba słyszałem odgłos zamykanych drzwi - szepnął Pete. - Może przeszli do innego pokoju?

Zadowolony Jupiter zatarł ręce.

- Nareszcie czegoś się dowiedzieliśmy - powiedział.

- Ciii! Słuchajcie - Pete pokazał głową tyły domu.

Bob nic nie słyszał. A jednak... Po chwili dobiegł go podejrzany szelest.

Pete jak wielki kot zaczął przekradać się w kierunku źródła szelestu. Gestem pokazał, żeby szli za nim. Dotarli do końca ściany i przez gęsty krzak wyrzeli za róg.

Kilka kroków dalej, pod oknem, przyczaili się dwaj Tajlandczycy, znajomi z pchlego targu.

- O rany! - Pete wstrzymał oddech.

Nie wierzył własnym oczom.

Twarze piratów były napięte. Z całych sił starali się podsłuchać, o czym mówi się w domu. Blizna na policzku wyższego - wiedzieli już, że to na pewno Prem Manurasada - wydawała się jeszcze głębsza niż za dnia.

- Patrzcie - Bob pokazał prześwit w żywopłocie.

Na ulicy stał biały datsun B210.

- Całe towarzystwo w komplecie! - mruknął Jupiter. Pete kiwnął głową.
- Najwyższa pora, żeby zaskoczyć te ptaszki. I to zaraz.

## ROZDZIAŁ 16

### TEN DOBRY, TEN ZŁY, TEN BRZYDKI...

Trzej Detektywi szeptem opracował i plan ataku na piratów z pchłego targu.

- Ruszamy! - Pete przejął dowodzenie.

Okrzykli krzaki i przedostali się na otwartą przestrzeń. Żeby całkowicie zaskoczyć przeciwnika, musieli poruszać się cicho i szybko. Udało im się! Piraci osłupieli na ich widok.

“Ale mamy szczęście - pomyślał Bob. - Tamci stracili kontrolę nad sytuacją.”

Pete musiał myśleć podobnie, bo w jednej chwili wypróbował na Premie Manurasadzie podwójny nidan-geri: najpierw krótki, ostry cios w żołądek, potem silne uderzenie w klatkę piersiową.

To w zupełności wystarczyło. Manurasada runął na ziemię, ogłuszony. Jupe szybko wyjął chusteczkę i zakneblował mu usta. Hałas był dalej niepożądany.

Tymczasem Bob, stosując czysty kakuto-uke, bez trudu zablokował cios mniejszego pirata. Sekundę potem jego pięść wylądowała na szczęce przeciwnika. “Bezblędny kentsui-uchi - triumfował w duchu Bob. - Godziny treningów nie poszły na marne!”

Mały osunął się po ścianie domu i upadł z zamkniętymi oczami. Jupe zaraz podbiegł z następną chustką.

- Dobra robota - odezwał się z tyłu czyjś nieprzyjemny głos.

Chłopcy podskoczyli. Teraz oni dali złapać się w pułapkę. - Taka beztroska - jęknął Bob. Popełnili szkolny błąd - nie pilnowali tyłów!

- Ręce do góry! - warknął Brick Kalin z zadowoloną miną.

Chłopcy posłuchali natychmiast. Nie było innego wyjścia. Tuż przed oczami mieli dwa półautomatyczne karabiny uzi z krótkimi lufami. Mały ruch palca - i pożegnaliby się z życiem.

- Zauważyliśmy dwóch włamywaczy... - zaczął Jupe.

- Zamknij dziób! - wrzasnął Kalin. - Albo ja ci go zamknę!

Kalin miał silną obstawę: dwóch Tajlandczyków z uzi oraz dwóch białych goryli - prawie dwumetrowych facetów z barami jak piec. Patrzyli na chłopców zimnym, zadowolonym wzrokiem. Nie było wątpliwości, że lubią brudną robotę!

- Ja powiedziałem tobie, Brick - odezwał się jeden z Tajlandczyków. - Zobaczyłeś? Ja bardzo duża pomoc. Dziś ja pokroilem opony, jak ty chciał. Teraz ja



usłyszałem hałas na podwórzu. Dobre złapanie, prawda? - dopominał się pochwały mężczyzna.

- Jasne, Thanom - zgodził się Kalin. - Teraz najwyższy czas, żeby pozbyć się twojej siostry.

- Nie, Brick - jęknął Thanom.

Kalin wskazał nieprzytomnych piratów. Goryle wrzucili ich na plecy jak worki kartofli i bez najmniejszego wysiłku ponieśli do drzwi.

- Ruszać się, gnojki! Ale to już! - rzucił Kalin chłopcom.

Z rękami nad głową powlekli się za gorylami, świadomi, że lufy uzi wycelowane są w ich plecy.

Bob czuł pulsowanie w uszach. To już nie była zabawa. Ci faceci grali o duże pieniądze. Kątem oka udało mu się dojrzeć Pete'a i Jupitera. Oni też nie mieli wesołych min.

Znaleźli się w obszernym, eleganckim holu.

- Teraz rzeczy wyjaśnione - słyszeli z tyłu głos Thanoma - pozornie zadowolony, ale Bob wyczuwał w nim panikę. - Mamy taśmy. Mamy chłopcy. Mamy ci, którzy ukradli taśmy. Wszystko dobrze, Brick.

- Gdybyś trzymał dziób zamknięty i nie gadał o "Szalonej Kalifornii" - wściekał się Kalin - to ci amatorzy z targu nigdy nie weszliby mi w drogę. Skąd mogę wiedzieć, czy następnym razem nie zrobisz czegoś podobnego? Jesteś taki sam jak ona, Thanom!

Tymczasem goryle Kalina otworzyli drzwi na końcu korytarza i wrzucili "amatorów z targu" do schowka na szczotki. Śmiali się z zadowoleniem, kiedy usłyszeli ich jęki. Chłopców sprowadzono na dół.

- Ona porozmawiała z Premem przez błąd - spróbował jeszcze raz Thanom. - Nie wiedziała, co jemu mówi. Nie wiedziała, że on będzie ukraść ode mnie taśmy. Dlaczego Prem ukradł? On przecież dostaje dużo inne taśmy od wielkich ludzi z Bangkoku.

- Bo chce pokazać ludziom z Bangkoku, że jest najlepszy - odpowiedział Kalin. - Chce im pokazać, że można zarobić więcej szmalu, jeśli podniesie się jakość kaset. Chce sam być szefem!

- Ale ty masz nowe "matki", Brick. Ty sprytny. Nasz wielki boss cię powiększy, zobaczysz.

- Nie wysilaj się, Thanom. Ona jest w kłopotach. Ty też.

Chłopcy zostali wprowadzeni do pokoju bez okien, który służył za siłownię. Stał w nim kompletny zestaw przyrządów do ćwiczeń, a w rogu leżało kilka sztang.

- Związać ich! - rzucił Kalin goryłom, którzy natychmiast wyciągnęli z kieszeni mocny, nylonowy sznur.

- Ty! - Kalin wskazał lufą Pete'a. - Do ciebie mówię! Wpadłeś po szyję. Ciekawe, jak mnie znalazłeś?

- No comprendo - powiedział Pete.

Wolał udąć, że nie rozumie, mimo że - obserwując, jak Kalin swobodnie obchodzi się z bronią - nie miał wątpliwości, że tamten nie zawaha się jej użyć.

Jeden z goryli przytrzymał mu ręce z tyłu i ciasno obwiązał je sznurkiem. Pete uznał, że facet rzeczywiście przypomina małpę - miał przylizane czarne włosy i blisko osadzone ciemne oczy. Jego towarzysz, człowiek z ogromnym nosem i szopą nigdy chyba nie czesanych rudych włosów, krępował ręce Jupiterowi.

- Ty! - prychnął Kalin. - Nie bądź taki mądry! Hiszpan zakichany. Pytam, jak mnie znalazłeś!

Pete milczał. Kalin skinął na podobnego do małpy goryla, który natychmiast ściągnął sznury na nadgarstkach Pete'a. Chłopak jęknął.

- Przestańcie! - szarpnął się Jupe. - Ja też mogę wam powiedzieć. To nic wielkiego.

Facet zawahał się i spojrzał na Kalina, czekając na rozkazy. Ale Pete musiał zapłacić za podkopywanie autorytetu szefa. Kalin potrząsnął głową i pętla zacisnęła się jeszcze silniej. Na czole chłopca pojawiły się krople potu. Jednak uparcie milczał.

- Mów! - warknął w końcu Kalin do Jupitera.

- Mieliśmy numer rejestracyjny corvetty. Odnaleźliśmy akta personalne w Galactic. Tam jest adres - jednym tchem wyrecytował Jupe. - A teraz rozluźnijcie pętlę.

Na szczęście tak się stało. Zlany potem Pete nie zmienił wyrazu twarzy. Nie miał zamiaru dawać im satysfakcji. Na jego nadgarstkach Bob zauważył krople krwi.

- A więc po to byliście w Galactic! Myślałem, że poszliście po nagrodę za znalezioną taśmę Barbarzyńców.

- Po to też - kłamał gładko Jupe. - Poza tym liczyliśmy, że dostaniemy pracę.

- A teraz przyszlście tutaj, żeby mnie szantażować!

- No. Ale wychodzi na to, że się nam nie udało.

Bob zrozumiał, że Jupiter gra na czas. Skoro od razu ich nie zabili, jest jeszcze szansa. Wkrótce minie pół godziny i Łupy zadzwonią po policję. Jakie to szczęście, że

ci szaleńcy uparli się, żeby z nimi pojechać!

Tymczasem goryl Pete'a skończył wiązać mu nogi i przeszedł do Boba.

- Głupie szczeniaki! - warknął Kalin. - Oduczycie się wtykać nos w cudze sprawy! Kto wie, że tu jesteście?

- Całkiem wiele osób - Jupiter popatrzył mu prosto w oczy. - Niedługo zaczną nas szukać.

Kalin nie był pewny, czy Jupiter z niego kpi, czy nie.

Goryle byli ekspertami w swoim zawodzie. Związał chłopców tak ciasno, że nie było szansy na rozluźnienie więzów, ale jednocześnie na tyle luźno, żeby krew mogła swobodnie krążyć. Wszyscy trzej, całkowicie unieruchomieni, siedzieli teraz rzędem na podłodze.

- Kłamiesz - zdecydował się Kalin. - Nikt nie wie, że tu jesteście. Nie widzę powodu, dla którego mielibyście mówić komuś o swoich brudnych interesach. Nawet jeśli ludzie zauważą, że was nie ma, nie będą wiedzieli, gdzie szukać.

- Brick - wtrącił Thanom. - Ty umiesz myśleć!

Brick nie zwrócił na niego uwagi.

- Te szczeniaki za dużo wiedzą - spojrzał wymownie na obu goryli. - Będziecie musieli coś z nimi zrobić.

Bob zamarł. Jupiter głośno wciągnął powietrze. To brzmiało jak wyrok śmierci. Dotąd nic im się podobnego nie zdarzyło. Oby Łupsy ruszyli jak najprędzej do akcji!

- Brick! - odezwał się znowu Thanom. - Wielki boss ma mówić "okay" pierwszy. Nie robimy nic, zanim wielki boss powie "okay". On będzie tu zaraz.

- Chociaż raz mówisz do rzeczy - zgodził się Brick. - Ale nie myśl, że coś ich uratuje. Szef nie pozwoli nikomu zrujnować takiego biznesu. Włożył w to za dużą forszę. Twoja siostra też niech lepiej zmówi modlitwę.

Wszyscy wyszli. Zza drzwi dobiegł ich błagalny głos Thanoma. Potem nastąpiła cisza.

- Dobry jesteś, Pete - odezwał się Jupiter.

Pete przyjrzał mu się badawczo, jakby chciał sprawdzić, czy przyjaciel nie żartuje. Ale Jupiter mówił poważnie.

- Żeby coś zrobić, musisz czasem zarobić... w głowę - odpowiedział...

- Nigdy nie myślałeś, żeby zostać szpiegiem? - zapytał Bob. - Te wszystkie sportowe samochody i piękne kobiety...

Nagle Pete naprawdę wyobraził sobie kobiety. A właściwie jedną... Kelly. Czy ją

jeszcze zobaczy? Ależ by chciał jechać teraz z nią samochodem! Opowieść o ich dokonaniach zrobiłaby na niej wrażenie! Na myśl o tym poczuł się rażniej.

Jupiter uświadomił sobie, że od południa nic nie jadł. Zobaczył przed sobą talerz świeżych obwarzanków posmarowanych grubo masłem.

- Teraz nie pozostaje nam nic, tylko czekać, aż Łupsy sprowadzą policję - rzucił Bob.

- Po co nam policja, kiedy mamy Łupsów - zaśmiał się Pete. - Czterech mięśniaków i dwa obrzyny to dla nich pestka.

- Quill zagada ich na śmierć - dodał Bob.

Ulżyło im trochę. Na razie byli żywi. A pomoc wkrótce nadejdzie.

- Teraz wiemy, jak to było - powiedział Jupe. - Brick Kalin musiał nagrać własną taśmę-matkę do "Szalonej Kalifornii". Thanom miał wynieść ją z firmy. Prawdopodobnie razem ze śmieciami. Portierzy w Galactic zawsze wynoszą worki do głównego kontenera.

- Przy okazji Thanom wygadał się przed swoją siostrą, a ona powiedziała wszystko Premowi - dodał Bob. - Dla Prema była to wielka szansa. Nawet nie marzył o tym, że uda mu się zgarnąć wysokiej jakości taśmę.

- Jasne. Miał nadzieję, że wyśle ją do Bangkoku. Chciał zrobić wrażenie na szefach - Pete wrócił do rzeczywistości.

- Skończyło się na wojnie między dwoma gangami - podsumował Jupe. - Wtedy, na pchlim targu, pomagier Prema wsunął taśmę do pudła Boba. I w ten sposób obie grupy zaczęły na niego polować. Tak do akcji wkroczyliśmy my.

- A teraz leżymy na podłodze związani jak baleron - dodał Pete.

- Wygląda na to, że Brick wpadł w panikę - ciągnął niewzruszony Jupiter. - Zamiast czekać na okazję skopiowania "matki" własnym przemysłem, ukradł gotową taśmę.

- Czy siostra Thanoma jest członkiem gangu? - zastanawiał się Pete.

- Nie wydaje mi się. Chyba miota się między bratem a narzeczonym, ale sama jest niewinna.

Chłopcy zamilkli. Jupiter przesunął się na bok, żeby ulżyć zdrętwiałym mięśniom. Bob poszedł jego śladem. Tak było znacznie wygodniej.

- A to co? - zawołał nagle.

Przesunął się odrobinę, żeby lepiej przyjrzeć się kolorowej ulotce, która leżała pod jedną ze sztang. Potem nachylił się i wziął ją w zęby. Wrócił na stare miejsce i

upuścił ją na podłogę.

- No, no! - gwizdnał Pete i przeczytał głośno: *Ponad 1000 tytułów! Najnowsze hity! Stare przeboje! Wszystko po najniższych cenach. Bomba sezonu: "Szalona Kalifornia" - nowy album Barbarzyńców.*

Dalej był alfabetyczny spis solistów i zespołów współpracujących z różnymi wytwórniami fonograficznymi, a na dole strony - numer skrzynki pocztowej, na który zainteresowani mogą wysłać zamówienia na katalog.

- Tak działa król piratów - obwieścił Jupe triumfalnie.

- Ale Kalin jest na to za słaby.

- Toteż nie on jest szefem całego interesu. Byłoby cudownie, gdyby policji udało się zgarnąć samego bossa - rozmarzył się Pete.

Chłopcy, zapominając o swoim nieszczęsnym położeniu, triumfowali. Wtem zza drzwi rozległ się znajomy głos Maxi.

- Zabierz swoje brudne łapy, ty Godzillo.

- Uważaj, chłopie. To moja kobieta! - natychmiast rozpoznali Marsha.

- Hej, hej, hej! - narzekał Tony. - Musicie robić tu coś naprawdę strasznego, skoro straszycie bronią niewinnych ludzi.

- Jeśli ma stać się coś złego, bądźcie pewni, że stanie się na pewno - w otwartych z trzaskiem drzwiach pojawił się Quill.

Trzej Detektywi patrzyli oniemiała, jak goryle wpychają do siłowni wszystkich Łupsów.

Teraz nie mieli już szans na pomoc!

## ROZDZIAŁ 17

### ZADANIE DLA GŁUPCA

Niewzruszony Kalin stał z wycelowanym uzi, kiedy jego ludzie wiązali Łupsów. Po raz kolejny tego dnia Bob poczuł skurcze żołądka. Pal diabli konkurs Jimmy'ego Cokkera! Teraz cała siódemka będzie musiała umrzeć.

Na domiar złego Maxi nie mogła się opanować.

- Czy to ci faceci ukradli taśmy z Galactic? - spytała.

- Maxi, bądź cicho - ostrzegł ją Bob.

- Daj sobie siana - skrzywił się Kalin. - Ich też już nic nie uratuje. Byli zbyt ciekawi i zaczęli węszyć. Szkoda. Taka ładna kobietka.

- Ty też jesteś niezgorszy, Tarzanie - odpowiedziała Maxi wesoło i zatrzepotała rzęsami. - Powiedz mi, proszę, gdzie dziewczyna może tu poprawić makijaż?

“Chyba zwariowała” - pomyślał Pete.

- Co? - rzucił Kalin niecierpliwie.

- Toaleta. Latryna. No, wiesz?

Kalin oniemiał, a potem mruknął:

- Chyba wszystko w porządku. Zaprowadź ją, Thanom.

Maxi uśmiechnęła się promiennie do neandertalczyka, który właśnie zaczynał ją wiązać.

- Wstrzymaj się chwilę, koteczku. Zaraz wracam.

Rudy goryl potarł dłonią czoło. Patrzył podejrzliwie, jak Maxi podchodzi do drzwi. Thanom nie odstępował jej na krok.

- Hej! - przypomniał sobie nagle Marsh. - Człowieku! Dziś o siódmej mamy poważny występ. Nie możemy nawalić.

- Możesz na zawsze zapomnieć o występach - odpowiedział Kalin.

- Nie jesteś na bieżąco, człowieku - Tony potrząsnął czupryną. - Jestem najlepszym perkusistą w tym mieście.

- Byłeś!

Bob obserwował Jupitera, który siedział jak w transie - nienaturalnie cicho, z półprzymkniętymi oczami. Oznaczało to, że intensywnie myślał. Pete też był niezwykle spokojny, ale mięśnie ramion zdawały się żyć własnym życiem. “Najwyższy czas - zdecydował - żeby i ja zaczął myśleć.”

- Powiedźcie mi - zaczął znowu Tony. - Czy to właśnie ci faceci kradli taśmy ze

studiów nagraniowych?

Tony i Quill byli już związani. Czarnowłosy szympans krępował właśnie Marsha, a jego kumpel czekał na powrót Maxi.

- Tak - Bob postanowił grać na czas. - Jak sobie radziliście z innymi studiami, Kalin? Skoro nie mamy stąd wyjść żywi, możesz uchylić rąbka tajemnicy.

- Ma się te kontakty - wzruszył ramionami Kalin, ani na chwilę nie zdejmując palców ze spustu uzi. - Zawsze znajdzie się jakiś techniczny, który chce zarobić kilka dolarów ekstra.

- A skąd wiecie, co kupować?

- To szef - po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiało coś na kształt szacunku. - Wie, co jest grane. Wie, co się sprzeda i co będzie na topie. Ale to ja pierwszy usłyszałem o "Szalonej Kalifornii". Dostałbym niezłą premię za tę taśmę.

- Porntip wszystko zepsuła, tak?

- Ta głupia baba! Tylko wam zawdzięcza, że jeszcze chodzi po ziemi. Trafiłem na was dzięki niej. Wygadała, że Prem szuka u was tych taśm. Misjonarka zafajdana. Próbuje przekonać Thanoma, żeby rzucił robotę. I przez nią zginą oboje!

- Zabijesz Thanoma? - zapytał Jupe.

Zapadła głucha cisza. Po raz pierwszy ktoś mówił wprost o zabijaniu!

- Nie. Mam do tego Bernie'ego i Craiga - uśmiechnął się lodowato Kalin.

Obaj goryle skrzyżowali ramiona i uśmiechnęli się jak automaty. Widać było, że zadawanie cierpienia sprawia im przyjemność. Pete poczuł na plecach zimny dreszcz.

- Już jestem! - zawołała Maxi od drzwi, radośnie wpadając do środka.

"Na pewno zwariowała - pomyślał Pete. - Z czego ona się tak cieszy? Nie widzi, w jakiej jesteśmy sytuacji?"

Maxi paplała rozkosznie, kiedy rudowłosy goryl krępował jej ręce i nogi.

- Została wam jeszcze jedna godzina. Możecie się pomodlić. Potem przyjdzie szef - Kalin popatrzył na nich z góry i wyszedł razem z obstawą.

- Co za bałwan! - parsknęła Maxi.

- Gdzie policja, Marsh? - zapytał Bob. - Przecież mieliście dać im znać.

- Wiesz... - wyjąkał zakłopotany Marsh - znudziło nas to czekanie... A poza tym nie mieliśmy forsy na telefon...

- Nigdy nie słyszałeś o 911? - mruknął Bob.

- ... więc postanowiliśmy sami tu zajrzeć - szybko skończyła za niego Maxi. - Która godzina?

Wykręciła głowę, żeby spojrzeć na zegarek Marsha.

- Już po siódmej. Trzeba się ruszać. Mamy dziś wielki występ!

- Jesteś całkiem zdrowa? - wpatrzył się w nią Tony.

- Przestańcie się mazgać. W łazience jest okno! A łazienka jest na końcu holu.

- Zapomnij o tym, Max - powiedział Marsh.

- Zanim tam dojdziemy, będą z nas zimne trupy - Tony był coraz bardziej ponury.

Quill odchrząknął i powiedział:

*Posępnym, którym śmierć oślepia oczy,*

*Niech się wzrok w blasku jak meteor pławi;*

*Niech się buntują, gdy światło się mroczy.\** [Dylan Thomas, Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy, przekład Stanisława Barańczaka.]

- Co to niby ma być? - zapytał Tony.

- Dylan Thomas - odezwał się Jupiter niespodziewanie.

Wszyscy obrócili się w jego stronę.

- Quill chciał powiedzieć, że nie należy się poddawać. Trzeba żyć za wszelką cenę. Zgadzam się z nim. Jak ci idzie z tym sznurem, Pete?

Twarz Pete'a była spocona z wysiłku, a mięśnie ramion napięte do bólu.

- Nie najlepiej - mruknął. - Trzymałem dłonie grzbietem do siebie, kiedy mnie wiązali. Zwykle jest tak, że po przekręceniu dłoni pętla rozluźnia się na tyle, że człowiek może się uwolnić.

- Czekaj, zobaczę - Bob znowu przesunął się odrobinę.

Pete miał zakrwawione przeguby.

- Daj spokój, Pete. Robisz sobie krzywdę.

- Nie jest aż tak źle.

- Mówię ci, że nie warto - upierał się Bob. - Przecież widzę, że to do niczego nie prowadzi.

Pete z westchnieniem przekręcił się na bok.

- Czy nikomu nie uda się uwolnić rąk? - spytał Jupiter.

W odpowiedzi usłyszał tylko chóralne "nie".

- A jak twoje sznury, Maxi?

- W porządku, a bo co?



- Masz najmniejsze ręce - Jupe wykręcił się tak, że nosem prawie dotykał jej pleców. - Porusz dłońmi. Widzisz? Masz trochę luzu. Myślę, że Berniemu spodobało się, że mówiłaś do niego "koteczku".

- Myślisz, że uda mi się wyplątać? - spytała.

- Złóż ciasno dłonie - radził Pete.

- Nie mógłbyś przegryźć sznurów, Jupe? - zaproponowała, kiedy jej wysiłki nie dały.

- Jeśli ktoś ma to zrobić, na pewno będę to ja! - obruszył się Marsh.

- Nie martw się! - uspokoił go Jupiter. - Nikt nie da rady przegryźć nylonowej linki. Potrzeba nam czegoś naprawdę ostrego.

- Może być scyzoryk? - zapytał Tony.

- Masz scyzoryk?! - wykrzyknął podniecony Jupiter. - Gdzie?

- W tej kieszeni na kolanie.

Wrzasnęli triumfalnie i natychmiast usłyszeli odgłos klucza w zamku. W drzwiach pojawił się mięśniak z rudymi włosami - Bernie.

- Co jest? - warknął. - Zamknąć się, rozumiecie? - powoli podniósł lufę swojego obrzyna i wycelował w ich kierunku.

Zamarli i posłusznie kiwnęli głowami. Nawet Maxi nie powiedziała ani słowa. Lepiej było nie odzywać się do tej tępej kupy mięsa.

- Na kolanie? - upewnił się cicho Jupiter po wyjściu Bernie'ego.

Razem z Bobem i Pete'em podczołgali się do Tony'ego. Z wielkim trudem udało im się odsunąć suwak i wyjąć scyzoryk. Bob włożył go Tony'emu do rąk i powoli instruował, jak go otworzyć.

- Hurra! - pisnęła Maxi, kiedy w końcu się to udało. - Ciii! - skarciła zaraz samą siebie.

Teraz przyszła kolej na Boba - powoli zaczął rozcinać więzy Jupitera.

- Uważaj, to moja ręka! - jęknął Jupe.

- Nie narzekaj. Przypomnij sobie Pete'a.

- Pete jest odważny fizycznie - wyjaśnił z godnością Jupiter.

- Ja jestem odważny umysłowo!

Na szczęście obyło się bez poważniejszych obrażeń. Dalszy ciąg był łatwiejszy. Wszyscy odwracali się plecami, a Jupiter uwalniał im ręce. Po rozwiązaniu nóg musieli trochę pochodzić po pokoju, żeby rozruszać zdrętwiałe mięśnie.

- Trzymajcie swoje sznury - zapowiedział Jupiter. - Będziemy potrzebować ich

na Bernie'ego.

- Jak to sobie wyobrażasz? - zainteresował się Bob.

- Maxi zwabi Bernie'ego do pokoju, jest nas tutaj sześciu chłopa. Powinniśmy dać sobie radę z jednym gorylem. A potem w nogi przez łazienkę, jak to wymyśliła Maxi.

- W porządku, Rambo.

- Wydaje mi się, bracie, że zapomniałeś o jednym - wtrącił Marsh. - Bernie ma nad nami jeszcze inną przewagę.

- No, no - kiwnął głową Tony. - Gustowne uzi z krótką lufą.

- Tylko bierny opór zmienia serca i umysły - odezwał się zniecierpliwiony Quill.

- A tak - westchnął Tony z rezygnacją. - Muszę wam wytłumaczyć. Quill jest pacyfistą. Nie będzie walczyć.

- Nie szkodzi - przeciągnął się Pete.

Jego nadgarstki jeszcze krwawiły, ale on nawet nie mruknął. Teraz najważniejszym zadaniem była ucieczka. Przeciągnął się drugi raz, a potem dotknął rękami stóp.

- Jestem gotowy, Bernie. Dziś mam dobry dzień!

Potem rozdzielił miejsca i wyjaśnił, co każdy ma robić. Sam stanął tuż przy drzwiach, żeby rozpocząć atak. Bob był kilka kroków dalej. Maxi stanęła z drugiej strony drzwi, żeby zatrzasnąć je natychmiast po wejściu Bernie'ego. Nikt nie mógł usłyszeć, co dzieje się w środku.

Marsh i Tony byli następni w kolejce. Uznali, że we dwóch stanowią potęgę. Ich zadaniem było przechwycić Bernie'ego, gdyby Bob i Pete sfuszerowali sprawę.

Jupiter ustawił się w środku pokoju jako ostatni. Miał albo wykorzystać znajomość dzudo, albo wyprowadzić Bernie'ego w pole jakimś sprytnym trikiem, albo - jeśli wszystko inne zawiedzie - uciekać.

Quill usiadł na przyrządzie do ćwiczenia ramion, stojącym pod ścianą. Obserwował. Uśmiechał się do siebie. Kiwał ogoloną głową.

- Zapraszamy do tańca! - podskoczył Marsh.

Przybili piątkę i Maxi przystawiła oko do dziurki od klucza.

- Bernie! - pisnęła rozdzierająco. - Bernie! Chodź szybko.

Strzeliły otwierane drzwi i do środka wtoczył się Bernie. Pete wystartował natychmiast. Jego pięść wylądowała celnie na piersi goryla. Był to popisowy uraken-uchi, który nie zrobił jednak na Bernie'em żadnego wrażenia. Pete spróbował

ushiro-kekomi - trafił wielkoluda w szczękę i... nic.

Bernie, nie tracąc czasu, zamierzył się na Boba i pchnął go kolbą swojego uzi wprost w objęcia Pete'a. Nadeszła kolej na Tony'ego i Marsha. Goryl strącił ich z siebie jak zwiędłe liście.

- Hej! - zawołał Quill z końca pokoju. - Chłopczyku! Jesteś taki brzydki, że twoja mama powinna cię oddać, zanim się urodziłeś.

Bernie wydał ryk, który można było porównać jedynie z rykiem odpalanego silnika wysokoprężnego, i natarł na Quilla.

Jupe zobaczył szansę dla siebie. Po prostu wystawił nogę, kiedy goryl go mijał. To wystarczyło. Bernie potknął się i poleciał na twarz w stronę Quilla. A Quill wstał i z wielką uwagą opuścił obciążone do maksimum ręczki maszyny. Bernie nie miał szans. Uderzył w nie z hukiem i padł na ziemię, nieprzytomny. Wyglądał jak wielki wieloryb, którego fala wyrzuciła na brzeg.

- Ale silna grupa! - powiedział Tony z zachwytem.

- Nawet Quill znalazł sposób, żeby użyć bicepsów bez naruszania pacyfistycznych przekonań - dorzucił Pete.

- Im są więksi - uśmiechnął się Quill z wyraźną satysfakcją - tym ciężiej spadają.

Trzej Detektywi błyskawicznie zajęli się Bernie'em. Związali go i zakneblowali, a potem schowali uzi.

- Teraz twoja kolej, Maxi - Bob powoli otworzył drzwi. - Gdzie jest łazienka?

Byli w połowie holu, kiedy za podwójnymi, rozsuwanymi drzwiami usłyszeli rozmowę. Jupiter stanął jak wryty. Jeden głos... brzmiał znajomo.

- Wiejmy stąd - popędził go szeptem Pete.

Ale Jupe przykleił ucho do drzwi. Był pewny, że z drugiej strony jest wielki boss. A on, Jupiter, słyszał już jego słowa.

## ROZDZIAŁ 18

### ...I NIE WÓDŹ NAS NA POKUSZENIE...

Bob jednym skokiem znalazł się obok Jupitera. I on stanął z uchem przyklejonym do drzwi. Potem zrobiła to cała siódemka. W równym rzędzie przyłgnęli do chłodnego drewna i zaczęli nasłuchiwać.

Ktoś narzekał wysokim nosowym głosem.

- Ja też znam faceta - szepnął Bob.

Ale nie miał pojęcia skąd.

- Tak to jest, kiedy zaufa się niedouczonemu kretynowi! Narazi na niebezpieczeństwo całe moje imperium! Tym razem, Brick, przeszedłeś w głupocie samego siebie!

- John Henry Butler - szepnęli jednocześnie Jupe i Bob.

- Ten krytyk? - upewnił się Pete. - No, no!

- On jest szefem tego biznesu - wyjąkał zaskoczony Jupiter.

- Pewnie. Zna wszystkich w branży - kiwał głową Bob. - Wie o wszystkim, co ma pojawić się na rynku.

Nagle rozległo się walenie w drzwi schowka na szczotki.

- O rany! - szepnął Pete. - Tamci odzyskali przytomność.

Po chwili walenie zamieniło się w ogłuszający łomot. Piraci próbowali nogami wyważyć drzwi! Było oczywiste, że w holu zaraz zjawi się Kalin z całą resztą.

- Do łazienki! - rzucił ostro Pete.

Byli w połowie korytarza, kiedy usłyszeli dźwięk rozsuwanych drzwi. Bob obejrzał się przez ramię - Kalin, Craig i Thanom wypadli do holu. Żaden z nich nie trzymał wprawdzie uzi, ale co to zmieniało?

W głębi pokoju, który okazał się biurem, siedział John Henry Butler, dobrze widoczny w świetle lampy, z rękami na grubym brzuchu i wściekłą miną.

- Wracamy! - podjął błyskawiczną decyzję Pete.

Odwrócił się, opuścił głowę i zaatakował jak byk na arenie. "Wie, co robi - pomyślał ponuro Bob. - Nie ma co czekać, aż przypomną sobie o tym, że mają broń. Musimy atakować pierwsi, bo wystrzelają nas jak kaczki."

- Pete i ja bierzemy Craiga. Wy zajmijcie się resztą! - krzyknął, mijając kolegów.

Craig, o dziwo, zrozumiał ich zamiary i przygotowany na atak podniósł pięści. Nie upadł, kiedy obaj chłopcy rzucili się na niego, ale siła uderzenia sprawiła, że

zachwiał się na nogach.

Jupe złapał Kalina za przód koszuli i pchnął go w prawo, równocześnie podcinając lewą nogę. Ten perfekcyjny osoto-gari zaskoczył go niemal tak jak Kalina.

Tony i Marsh rzucili się na Thanoma, który wywinął się im i zniknął w pokoju.

W tym samym czasie Pete i Bob próbowali zwalić z nóg Craiga. Pete popisowym yoko-geri, czyli kopnięciem z boku, uderzył go w klatkę piersiową, a Bob, nie czekając ani chwili, dołożył mae-geri w szczękę. Maxi z piskiem skoczyła goryłowi na plecy i puściła w ruch drobne pięści. Po chwili udało im się go unieszkodliwić.

Pete i Bob od razu ruszyli w kierunku Kalina, który właśnie próbował wstać. Ich połączone wysiłki nie dały na siebie długo czekać - facet padł ogłuszony.

- Mały problem, chłopaki - rozległ się z tyłu głos Marsha.

Wszyscy odwrócili głowy. W drzwiach biura stanął Thanom z uzi gotowym do strzału. Trząśł się ze zdenerwowania. W każdej chwili mógł stracić panowanie nad sobą i pociągnąć za spust.

W całym domu zapadła cisza, przerywana jedynie rzadkimi uderzeniami w drzwi schowka. Piraci z pchlego targu najwyraźniej opadli z sił. A w holu czas ciągnął się w nieskończoność, powietrze gęstniało z minuty na minutę. Bob wiedział, że nie ma mowy ani o ucieczce, ani o ataku.

Jęknął w duchu. Nagle zobaczył, że Jupiter robi mały krok.

- Thanom - usłyszał spokojny głos przyjaciela. - Porntip nie chce, żebyś zabijał ludzi.

- Ja nie iść do więzienia! - Thanom trząśł się coraz bardziej.

- Powiem policji, że uratowałeś nas przed Kalinem - Jupe zrobił następny krok.

- Przecież on chciał nas zastrzelić, ale ty go powstrzymałeś. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- Ty i Porntip nie wierzycie w zabijanie.

Kolejny krok w przód. Bob widział teraz sztywne ze strachu plecy Jupitera, który mimo to panował nad głosem. Następny krok. Jupiter stał tuż przed Thanomem.

- Nie wierzycie, prawda?

- Zabijać to jest źle - potwierdził Thanom.

- Zrobiłeś złe rzeczy. Nielegalne. Nie można sprzedawać czegoś, co nie jest twoje. To złe, ale nie aż takie złe jak zabić.

- Powiesz policji, że ja pomagam?

- Wszyscy powiemy - obiecał Jupiter.

Powoli wyciągnął rękę i sięgnął po broń, ale jej nie dotknął.

Bob widział, jak ta ręka drży. Wstrzymał oddech z przejęcia. Thanom popatrzył na Jupitera. Powoli skinął głową i opuścił lufę uzi. Jupiter wyjął mu broń z rąk. Z ust całej siódemki wydobyło się westchnienie ulgi.

- Robicie wielki błąd.

Podsłuchali wszyscy. Nikt nie pamiętał o wyperfumowanym krytyku, skulonym za biurkiem.

- Robicie błąd. Jeśli pozwolicie mi działać, mogę odwdziżyć się każdemu z was - Butler sadził się na krzesło, taksując równocześnie stojącą przed nim grupkę. - Założę się, chłopcy, że wasze samochody nie są w najlepszym stanie, a wakacje właśnie się zaczęły. Co byście powiedzieli o pieniądzach na coś nowego? Nie mówcie mi - zwrócił się do Łupsów - że nie marzycie o miejscach w pierwszej dziesiątce listy przebojów, bo nigdy w to nie uwierzę. Ja wiem, za jakie sznurki pociągnąć, żeby zrobić z was gwiazdy.

Zapadła cisza. Każdy z nich samotnie musiał zmierzyć się z pokusą, jaką roztoczył przed nim Butler. Jupiterowi przemknęło przez myśl, że nareszcie mógłby kupić sobie samochód. Pete wyobraził sobie cztery nowiutkie opony. I setki rockowych koncertów, na które zabiera Kelly. Bob rozważał możliwość kupienia nowych ubrań i zamiany garbusa na coś znacznie lepszego. Łupsy usłyszeli w duchu swoje piosenki w każdej stacji radiowej i zamarzyli o momencie, kiedy przestaną występować w centrach handlowych, na pchlich targach i w innych tego typu miejscach.

A potem popatrzyli jeden na drugiego. Dla wszystkich stało się jasne, że nie skorzystają z oferty Butlera.

- Przykro mi, panie Butler - odezwał się Jupiter - ale nie wchodzimy w układy z przestępcami.

Krytyk zerwał się z krzesła z twarzą czerwoną z wściekłości. Machnął rękami i światło odbiło się w jego diamentowych pierścionkach.

“Tylko nie to - modlił się w duchu Jupe. - Żebym tylko nie był zmuszony do użycia tej broni.”

I wtedy ruszył do przodu Quill. Obok biurka podskoczył, wbijając Butlera z powrotem w krzesło, i wylądował na jego kolanach.

- Co... - zdołał wyjąkać tamten.

- Wyrzeczenie się przemocy jest przyszłością świata - spokojnie zauważył Quill.  
- Dlatego nie ma się pan dokąd spieszyć.

Pozostali ryknęli śmiechem.

- Pewnie, że byłoby cudownie nie grać więcej na konkursach... - mruknął Marsh.

- Rany! Bracie! jest wpół do dziewiątej! - podskoczył Tony.

- Nie! - przerażona Maxi otworzyła szeroko oczy.

- Sax mi tego nie daruje! - Bob czuł się podle jak nigdy - To moja wina.

- Co ma być, to będzie - Quill nie opuszczał kolan Butlera.

Dla wszystkich stało się jasne, że chwila triumfu była jednocześnie chwilą klęski.

- Ale - obwieścił Marsh - nie zapominajcie, co nam się udało. Przecież przeżyliśmy!

Trafił w dziesiątkę. Przeżyli i znowu zaczęli się cieszyć. Jupe tymczasem podszedł do telefonu i zadzwonił na policję.

- To by mniej więcej było wszystko, co się działo wczoraj - zakończył Bob swoją opowieść. Sax słuchał z ponurą miną.

Następnego dnia Trzej Detektywi i Sax jechali karawanem do Los Angeles. Pete prowadził. Sax był zbyt przygnębiony, żeby zapytać, dokąd go wiozą.

- A jak operacja mamy? - zapytał uprzejmie Jupe.

- Wszystko w porządku. Szkoda, że nie da się powiedzieć tego samego o sytuacji tutaj. Powinniśmy wystąpić w konkursie. Cieszę się tylko, żeście przygwoździli Butlera. Swoją drogą nieraz się zastanawiałem, skąd ten palant bierze pieniądze. Nie widzieliście jego mercedesa! Wielki, czarny i długi jak dwie limuzyny.

- Sax, przykro mi z powodu konkursu. Przepraszam - wyjąkał Bob.

- Wiem, chłopcze. Tylko że to niczego nie zmieni. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Zasepiony Sax patrzył przez okno. Ocknął się dopiero, kiedy zobaczył, że zajeżdżają na parking przed wieżowcem Galactic Sound.

- Pete, czy ty na pewno wiesz, dokąd jedziesz?

- Nie denerwuj się, Sax - wtrącił się Bob, kiedy Pete zaparkował. - Mamy umówione spotkanie. A wiesz, jak trudno jest umówić się z Ernestem Lara? A do tego jeszcze w niedzielę?

- Nie sprawię mu zawodu - całkowicie odmieniony Sax wyskoczył z samochodu. Lara czekał na nich w swoim imponującym gabinecie.

- Moje gratulacje dla agencji Trzej Detektywi - gorąco uściskał ręce chłopcom, a

potem zwrócił się do Saxa:

- Miło mi pana poznać, panie Sendler. Liczę na to, że uda się nam współpraca - poczęstował Saxa cygarem.

- Współpraca? - wymamrotał Sax. Bob wręczył Larze kasetę.

- Demo Łupsów - wyjaśnił Saxowi.

- Aha - odpowiedział Sendter słabym głosem i bezwiednie wepchnął cygaro do kieszeni.

Lara włożył kasetę do swojego superodtworacza, nacisnął guzik i rozparł się za biurkiem z nieodłącznym cygarem w ustach. Chłopcy nie spuszczała z niego oka. Wkrótce z głośników dobiegł pierwszy gorący kawałek.

- No, no - powiedział Lara po chwili.

Z uśmiechem wystukiwał takt na krawędzi biurka.

- Świetne - mruknął, kiedy skończyła się druga piosenka. - Jest szansa na przebój. Może nawet na dwa - uznał po chwili. Kiedy muzyka się skończyła, przypominał kota, który zjadł właśnie tłusciutką mysz.

- Super! - oznajmił.

- Czy mam rozumieć to, co mi się wydaje, że powinienem rozumieć? - podskoczył Sax.

- Panie Sendler - Lara wstał i uściśnął mu dłoń. - Będzie mi bardzo przyjemnie omówić z panem szczegóły kontraktu. Oczywiście pod warunkiem, że pan i pańscy klienci jesteście zainteresowani współpracą ze mną.

- Czy jesteśmy zainteresowani? - wykrzyknął Sax, klepiąc po plecach Boba, a potem Pete'a i Jupe'a. - Chyba nie ma pan wątpliwości.

- Młody człowieku - zwrócił się Lara do Pete'a - mam nadzieję, że pozwolisz mi pokryć koszty nowych opon?

- Świetnie.

- A teraz zapraszam panów na lunch. Moja limuzyna stoi przed wejściem. Zmieścimy się wszyscy.

- Czy może pan chwilę poczekać? - zapytał Pete. - Muszę zadzwonić do mojej dziewczyny i powiedzieć, że się spóźnię.

- Jestem ci winien - Sax wręczył Bobowi pięć dolarów.

- Za co?

- Za te trzy pirackie kasety. Gdyby nie one, nie byłoby nas dziś tutaj.

- Dzięki - Bob wcisnął piątkę do kieszeni. - Bardzo się przyda.



- A co? Czeka cię ciężka randka? - zakpił Jupiter. - Z iloma dziewczynami się umówiłeś?

- A ty? Czeka cię ciężki lunch? - odpalił Bob. - Co będzie z twoją dietą?

- Z moim programem odżywiania - poprawił go Jupiter pogodnie. - Lecimy! Umieram z głodu.